Nr. 1 (1149). Warszawa, 21 Grudnia 1902 r. (3 Stycznia 1903 r.) **Rok XXIII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50**, rocznie rb. **10**.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

„Chory człowiek.“

Turcya znowu ukazuje się Europie jako człowiek, potrzebujący kuracyi politycznej, którаby go już raz na zawsze od chorób wszelkich zabezpieczyła. Po wydaniu przez sułtana regulaminu porządkowego dla władz macedońskich, jakie trzy tygodnie temu, zdawać się mogło, że nareszcie zrozumiano w Ildiz-kiosku całą powagę położenia, że Porta bądź-to obietnicami dla ludności, bądź też, co ważniejsza, instrukcyami dla urzędów miejscowych, bądź wreszcie, co najważniejsza, sumienną, jeśli nie sprężystą, nad niemi kontrolą, będzie usiłowała zapobiedz nadużyciom i gwałtom, które wprawdzie nie stanowią jedynej podniety do ruchów powstańczych, ale są żywym ich psychologicznym współczynnikiem. Niezależnie od małej wartości reform sam sposób wprowadzenia ich, pierwsze nominacye i pierwsze instrukcye, odsunięcie chrześcian od komisyi urzędującej w Stambule i od inspektoratów, zła wola i gorsza jeszcze zła wiara w dwulicowych okólnikach do walich — przyniosły dowód przeciwny. Turcya okazała się znowu chorą, chorą na mózg. Głupota jest jej rozumem stanu, głupotą objawia się jej instynkt zachowawczy.

Podobno jakieś lepsze prądy przeciągają po Stambule, po samym Ildiz-kiosku, ale je przeciwdziałaniem swojem zobojętniać ma wielki wezyr, Said. Jeżeli tak, to Said jest nietylko wielkim wezyrem, ale i wielkim wrogiem Turcyi. Wprawdzie los Macedonii, los Turcyi samej, nie od lepszych czy gorszych, głupszych czy rozumniejszych wezyrów wyłącznie tylko zależy, ale zaślepienie i gnuśność Porty i sułtana, mogą i nawet muszą go przyspieszyć. Chwila obecna nie jest jeszcze wyroczną: roztropność i zdrowy instynkt mogłyby sprawę macedońską nietylko umiejscowić, ale wyrobić pod doskonale pokojowe, znamiona wewnętrznej sprawy tureckiej w niej stwierdzające, rozwiązanie. Nie umiał z tego skorzystać chory mózg turecki: postarał się nietylko o rozdrażnienie samej ludności miejscowej, nietylko o podniecenie kierującej ruchami macedońskimi Bulgaryi, ale i o wywołanie niecierpliwości w dyplomacyi, której spokój sam jeden tylko ową chwilę wyroczną od Turcyi oddalać może. Sprawa macedońska staje się już teraz europejską, a gdy chodzi o tak wielką, tak wrzącą ruchami powstańczymi prowincyę, zajęcie się losem poddanych tureckich w Macedonii, może się łatwo wykształcić w żądzę zdobyczy terytoryalnych, wobec której Turcya mogłaby okazać wiele męztwa i sprawności bojowej, ale ostatecznie śmierć polityczna zajrzałaby jej w oczy.

Wskazówką bardzo poważnego położenia, w jakiem znalazła się Turcya z chwilą zniecierpliwienia dyplomacyi swem lekceważeniem reform w Macedonii, jest podróż, hr. Lamsdorffa, odbyta najpierw do Belgradu i Sofii, a potem do Wiednia. Minister spraw zagranicznych d. 23 z. m. przejechał przez Peszt, 24-go był w stolicy Serbii; podążył do rezydencyi królewskiej w Niszu. Przyjęty z niezwykłym zapałem, miał z królem i z Markowiczem rozmowy o których plotkarstwo polityczne nic dotychczas donieść nie zdołało. Pożegnał się d. 26-go i pojechał do Sofii. Już w Carybrodzie, na granicy, d. 27 z. m. powitał go prezes ministrów Danew z dwoma kolegami, a na dworcu w stolicy czekały ministra prawdziwie królewskie honory. Ustawiono kompanię honorową, prezydyum sobrania, radę miejską, deputacye różnych stowarzyszeń i gęste szeregi Macedończyków. Do pałacu książęcego zawiózł ministra adjutant książęcy w karecie dworskiej, otoczonej oddziałem kawaleryi. Pierwsze posłuchanie u księcia trwało dwie godziny. Na obiedzie w agencyi rosyjskiej różne stronnictwa obznajamiały ministra ze stanem sprawy. Nazajutrz. d. 28-go, na śniadaniu u Danewa wobec księcia Naumow wyłożył cierpienia Macedończyków; miał przygotowany memoryał, wskazujący minimum reform. Tego dnia minister opuścił Sofię, odprowadzony przez samego księcia aż do Carybrodu. D. 29-go zawitał już hr. Lamsdorff do Wiednia. D. 30-go miał mieć audyencyę u cesarza i być na obiedzie dworskim. Na ostatni dzień roku przypadło śniadanie u hr. Gołuchowskiego i obiad u Franc. Ferdynanda. Ważność tych audyencyj, śniadań i obiadów jest taką, że margrabia Reverseaux, poseł francuski, wstrzymał swój wyjazd.

Nowoje wremia zapewnia, że celem podróży jest najpierw poznanie osobiste stosunków na półwyspie Bałkańskim, a potem takie porozumienie się z Austryą, ażeby można było działania rewolucyjne komitetów macedońskich zastąpić spokojnym, ale skutecznym naciskiem na Turcyą dla polepszenia losu ludności ciemiężonej. Nowiniarze europejscy widzą już oczyma przyszłości komisyę międzynarodową *ad hoc* do reform, funkcyonującą w Wiedniu. Bulgarowie mają nadzieję otrzymania na wiosnę mandatu do roli przewodniej na czele innych ludów bałkańskich przy powszechnem na Turcyę ruszeniu. Rzeczywistych danych o zetknięciu się z inteligencyą polityczną w Sofii, o rozmowach i układach w Wiedniu dziennikarstwo nie zdoła na razie pow-

chwycić, chyba tylko tyle, ile dla samej skuteczności działania strony działające uznają za potrzebne rozgłosić. Chociaż *Nowoje Wremia* z otuchą pisze o porozumieniu się z Austryą dla wprowadzenia potoku z naturalnego łożyska rewolucyjnego w sztuczny kanał zamysłów i urządzeń dyplomatycznych, można wątpić i o łatwości zespolenia się z Austryą i o niezawodności obliczeń, na których dyplomacya opiera plan uspokojenia półwyspu z zadowoleniem i ludów i państwa, w którem im żyć ciężko. Jedno jest tylko pewnem: ilekroć Europa nie z grzeczności, ale z interesu dotyka się Turcyi, dotknięcie może się łatwo zamienić w wybuch. Dogmat nietykalności Turcyi — stał się już legendą.

Ostatni koncept p. Kościelskiego.

Od czasu gdy p. Józef Kościelski został jako polityk wybrakowany z Koła polskiego w sejmie Rzeszy, może on pozwalać sobie na daleko większą swobodę w pomysłach, niż wtedy, kiedy był posłem czynnym, a nawet wtedy, kiedy otworzył wszystkie stawidła w upuście swego lojalizmu pruskiego. Najnowszy jednak jego utwór, p. t. „Utopia,“ wydrukowany w *Kraju*, a znany nam z przytoczenia *Gazety Polskiej*, zwrócił fantazyę b. poety w odmiennym kierunku. Dawniej krążyła ona około słońca Hohenzollernów, od którego ciągle a daremnie oczekiwała świetlanej fali łask dla Polaków, dziś budzi w nich bunt przeciwko niemu. Ponieważ wszelkie ich skargi, podnoszone w sejmie niemieckim, gdzie znajdują chociaż słaby odgłos na lewicy, bywają odpierane przez rząd oświadczeniem, że one należą do sejmu pruskiego, gdzie przebrzmiewają bez echa, więc p. Kościelski proponuje, ażeby Polacy swoimi głosami wyborczymi umożliwili wstęp do sejmu pruskiego... socyalistom, których dotąd tam niema. Niech on własnemi słowy usprawiedliwi ten figiel polityczny, ażebyśmy przeróbką nie starli zeń puszku naiwności.

„Niech pan sobie tylko wyobrazi... My, wyborcy polscy, powiadamy sobie: — Dość mamy tego! przemawialiśmy do was — do pruskich członków sejmu — jak do ludzi. W was ludzkie uczucia wobec nas zagasły. Więc skoro ludzkiemi słowy nie mogliśmy nic zdziałać posyłamy wam bat... w postaci socyalistów. Z trzynastu mandatów, które posiadamy, rezerwujemy sobie parę, by w razie potrzeby mieć kilku przedstawicieli interesów narodowych, resztę oddajemy socyalistom. Ci zgodzą się chętnie. O tem nie potrzeba wątpić. Do naszych polskich wyborców mówimy: Tym razem *wyjątkowo* głosujcie na socyalistów! Nie dlatego, byście poślubiać mieli ich doktryny, a e dlatego, by pokazać rządowi, że nie jesteśmy zupełnie bezbronni, mamy także pazury. . W niektórych chorobach używa się jako lekarstwa najgwałtowniejszej trucizny: arszeniku, w takich dawkach, że trucizna nie zabija, lecz leczy. To byłoby lekarstwo na szowinizm pruski.

Podobny eksperyment możliwym jest tylko w tak wysoce uświadomionem społeczeństwie jak nasze. Zrozumianoby, że to nie jest żadna abdykacya, lecz wycieczka z oblężonej twierdzy. Wierz mi pan, gdyby Kordecki (!) był posiadał w Częstochowie Bebla i Singera, nie omieszkałby był posłać ich przeciw Szwedom. Skoro rząd przeciw nam prowadzi walkę *wszelkimi* sposobami, i nam wolno chwytać się wszelkiej broni. A obaczyłbyś pan, jaka to byłaby konsternacya, jakie przerażenie, jaka zimna kąpiel... Możeby ci panowie ochłodli trochę w swych zapałach!...“

Talent polityczny p. Kościelskiego odbił się tu we wszystkich swych znamiennych rysach. Przedewszystkiem oświadczywszy społecznym demokratom niemieckim, że ich uważa za „bat“ i „najgwałtowniejszą truciznę,“ chce ich wprowadzić do sejmu pruskiego, ażeby tam byli mścicielami Polaków. Ten sposób pozyskiwania sprzymierzeńców jest dziwnie ujmujący. Jeżeli psy folwarczne p. Kościelskiego, spuszczone z łańcuchów dla pokąsania i odstraszenia szkodników i złodziejów, spełniają tę misyę z wielką uciechą i zapałem, to dlaczegóżby jej nie mieli spełnić z równem zadowoleniem i energią socyalno-demokraci? Owszem, oni uważać to będą sobie za wielki zaszczyt. A sprawią się dzielnie: Bebel i Singer — to według p. K. straszne buldogi parlamentarne.

Mógłby ktoś niedorzecznie zapytać: jeżeli ukazanie się socyalno-demokratów w sejmie pruskim tak przeraziłoby junkrów, że głos Bebla i Singera byłby dla nich „głosem trąb zwiastujących koniec świata“; jeżeli ci dwaj posłowie wywołaliby taki popłoch tylko samą „krytyką“ postępowania rządu i umiejętnem wyzyskaniem „materyałów“, dlaczego Koło polskie nie zaopatrzy się w pogromców, którzyby rzucili na junkrów taką grozę, zdobyli się na taką krytykę i takie wyzyskanie materyału, którzyby zdolni byli w potrzebie nawet odeprzeć Szwedów? Odpowiedź prosta: pewne czynności, chociaż bardzo pożyteczne i niezbędne, nie są odpowiednie dla pewnych ludzi. Żaden obywatel ziemski nie będzie ściągał skóry ze swego zdechłego konia lub zamiatał dziedzińca. Od tego są wolni najmici. Otóż panowie poznańscy, a przynajmniej panowie rownorzędni z dziedzicem Miłosławia, nie mogą się zniżać do zbierania materyałów, wygłaszania druzgocących mów, do energicznej obrony swego społeczeństwa w sejmie pruskim. Do tej roboty można sobie wynająć paru zuchów z hołoty społeczno-demokratycznej, którzy po wykonaniu poleceń zostaną odprawieni. Dostojni mężowie „zarezerwują sobie tylko parę mandatów“ naprzód dla zastrzeżenia swych praw, a następnie dla przemówień w sprawach wyższych.

Brawo!

Po tym oklasku niech czytelnicy uwolnią nas od rozbioru tej politycznej ballady p. Kościelskiego i szczerze użalą się nad nami, zmuszonymi przedstawiać im takie koncepty.

TYDZIEN POLITYCZNY.

Na wodach wenezuelskich Niemcy i Anglicy prowadzą surową blokadę, podzieliwszy między siebie pobrzeże. Wszystkie okręty, nawet Stanów Zjedn., były rewidowane, a obecnie już upływa termin, do którego wolno będzie zawijać do portów tym, które w drogę już do nich wyszły. Stany Zjedn. pośrednictwem swojem sprawiły, że oba mocarstwa przystały na sąd rozjemczy, a nawet w nocie z d. 23 z. m. przewidziały potrzebę udania się przed trybunał w Hadze. Przewidywanie było słusznem, gdyż Roosevelt, upatrzony na rozjemcę, zaszczyt ten odrzucił, idąc za zdaniem swego gabinetu.

DO BIEGUNA.

Biegun północny stał się w ostatnich latach celem upajających marzeń i zuchwałych wysiłków. Do jego nieoglądanej ludzkiem okiem siedziby dążą nieprzerwanie z zawodną nadzieją śmiałe zastępy podróżników, a chociaż niedosięgnięty krąg tajemniczej krainy ciągle się zwęża, dotąd pozostaje ona niezdobytą i nieznaną. Zdaje się, jak gdyby na północnym cyplu osi ziemskiej, na śnieżnym tronie królowała straszna potęga, która broni swego władztwa i swej samotności nieprzebytymi wałami lodowców, głębokimi kanałami mórz, zabójczymi strzałami mrozu i wichru. A im bliżej przysuwają się wyprawy oblężnicze, tem owa obrona jest rozpaczliwszą i bardziej morderczą. Mimo wszystkich jednak porażek zwycięztwo natarć ludzkich w przyszłości jest niewątpliwe, a może nawet niedalekie. Bo jakkolwiek droga do bieguna jest zasłana trupami i zalana krwią poległych, jej trudności i niebezpieczeństwa nie zrażają nowych bohaterów, przeciwnie powiększają ich liczbę i wzmagają energię.

Ostatniego pomyślnego ataku na biegun północny dokonała wyprawa ks. Abruzzów na statku „Stella Polare“, której opis świeżo został wydany.*) Nietylko przewyższyła ona wszystkie poprzednie najdalszem dotarciem, ale także zdumiewającem bohaterstwem i tragizmem swoich uczestników. Same fakty, suche notatki stworzyły z tej opowieści wspaniałą epopeę naszego czasu. Posłuchajcie chociaż kilku jej ustępów:

Statek był urzadzony według wskazówek Nansena i zaopatrzony w potrzebne materyały na lat cztery. Jego osada składała się z 20 członków, między którymi najwybitniejszym był kapitan Umberto Cagni. Wypłynęła ona 13 lipca 1899 r. i zatrzymała się dłużej 7 sierpnia przy wyspie arcyksięcia Rudolfa. Tutaj w zatoce Cieplickiej książę postanowił przezimować, chociaż ona nie dawała mu dostatecznej osłony. Rozpoczęto badania naukowe, które rozwijały się bardzo owocnie, gdy nagle lody tak ścisnęły statek, że on zaczął pękać i woda dostała się do jego wnętrza. Pompy nie mogły jej wylać, pospiesznie więc przeniesiono zapasy na ławicę lodową, na której zbudowano również namioty dla załogi. Życie upływało nam, mówi autor, „jak w pensyonacie szkolnym, gdzie wszyscy jednocześnie robią to samo. W dzień czas przechodził szybko, ale noce wydłużały się bardzo. Po paru miesiącach wyczerpał się materyał do rozmowy, a ponieważ nie chcieliśmy się powtarzać, więc mówiliśmy mało.“ 20 listopada rozpoczęła się noc polarna. Do zgnębienia, jakie sprawia brak światła, przybyła straszliwa cisza, którą tylko ożywiały niekiedy gwałtowne burze. Dnia 23 grudnia zaszedł wypadek, który miał wpływ na dalsze losy wyprawy. Pogoda była cicha i względnie łagodna. Książę, korzystając z niej, zrobił wycieczkę na saniach, gdy nagle zerwał się wiatr północny; temperatura spadła o 20° niżej zera, rozpostarła się mgła, ślady zostały zawiane, lampy zgasły i całe towarzystwo znalazło się w ciemności. Natrafiwszy na spadzisty lodowiec, sanki zaczęły gwałtownie zsuwać się na dół i spadły w przepaść. Długo błądzono wokoło, nareszcie rozjaśnione gwiazdami niebo pozwoliło odnaleźć drogę powrotu. Gdy jednak cieszono się z ocalenia, książę spostrzegł, że częściowo odmroził palce u lewej ręki. To samo odkrycie zrobili jego towarzysze, Cagni i kucharz Gini. Nie pomogło rozcieranie. W styczniu końce dwóch palców księcia musiały być odjęte, przyczem doktór oświadczył mu, że on nie może myśleć o dalszym udziale w wyprawie na saniach, której przewodnictwo objął teraz Cagni. Książe odtąd już skazany był tylko na bezczynne wyczekiwanie rezultatów przedsiewzięcia, które podjęli inni.

W końcu lutego Cagni wyruszył ku biegunowi. Wziął on z sobą dwunastu ludzi, trzynaście sani i 108 psów. Całą wyprawę podzielono na trzy grupy, które miały powracać kolejno, ale już po dwóch dniach przybyli wszyscy. Nie mogli bowiem przebyć spiętrzonych lodów i wytrzymać mro-

*) La Stella Polare nel Mara Artico. Luigi Amadeo di Savoia duca degli Abruzzi. U. Cagni, A. Cavall Molinella. Medyolan.

Tak więc sprawa nareszcie skończy się tam, gdzie się zacząć była powinna. Blokada trwać będzie pomimo sądu, do którego jeszcze daleko. Wogóle srogość zmiękła. Wpłynąć na to musiało i otrzeźwienie samego rządu angielskiego, który nareszcie poznał, że nie wyciąga się kasztanów z pieca dla Prus rękami angielskiemi, a sam nie ma zamiaru na teraz zabezpieczać sobie posiadania Kanady zwalaniem doktryny Monroe'a środkami praktyki politycznej. Co skłoniło Roosevelta do odrzucenia urzędu rozjemczego. Chyba chęć nienarażenia się Anglii i Niemcom gdy poznał ich pretensye niezupełnie słuszne. Po zapisaniu się na sąd nie groziłoby już żadne niebezpieczeństwo — choćby tylko skrępowania sobie rąk. Stany. Zjedn. nie chciały również poręczyć długów Wenezueli; wyjednały tylko dla niej spłatę częściową.

W samej rzeczypospolitej Castro, jakimkolwiek był i cokolwiek zgrzeszył, teraz wobec napaści okazuje energię usiłującą zabezpieczyć interesa i godność narodową. Tem obydniejszym jest ruch powstańczy przeciwko niemu: to już nie powstanie, ale wręcz bunt rozbójniczy. Takich Matosów, Rolandów itd. sądzi się we 24 godziny i posyła do Orku. Wobec nieprzyjaciela ten, kto mu się opiera, jest władzą prawą, a kto z nią walczy, ten sprzymierza się z wrogiem. Przekonań i interesów mogą być całe tysiące, ale jedna jest tylko chorągiew narodowa.

Junkry pruskie zamyślają zmienić ustawę wyborczą w Prusiech.

W rodzie habsburskim skandal, dwa skandale, które opowie kronika obyczajów. Nas zajmuje tu przedewszystkiem zapadanie się coraz głębsze dynastyi europejskich.

Anglia, Hiszpania, Francya, Włochy zgromadziły już swe okręty u pomorza Marokańskiego. Hiszpanie obwarowują Ceutę. Pretendent do sułtanatu pobił wojska rządowe, część przeciągnął do siebie, część wymordował; niedobitki umknęły. Dalcassé wypiera się zawarcia umowy z Anglią i Hiszpanią o sfery wpływu w Marokku. Wiemy co znaczy ta sferologia.

Ugoda węgiersko-przedlitawska utknęła na rencie państwowej. Szell i Lukacs mimo to d. 27 z. m. byli w Wiedniu w sprawie ugody.

We Lwowie d. 29 zagajony sejm. Komisya budżetowa uchwaliła 3-miesięczną tymczasowość. Rusin Korol wystąpił z długim wywodem o ciemiężeniu Rusinów na wszelkich polach i pod wszelkimi względami. Abrahamowicz mu odpowiadał.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Zarysy Francyi współczesnej.

—✦—

Pod tym tytułem („Oczerki sowremiennoj Francii") wyszła w r. b., nakładem miesięcznika *Russkoje Bogactwo*, książka, zasługująca ze wszech miar na uwagę czytelników naszych. Autor jej, p. N. Kudrin, jest jednym z najwybitniejszych publicystów szczerze postępowego obozu rosyjskiego. Mieszkając w Paryżu od lat kilkunastu, posiada gruntowną znajomość rzeczy, a zarazem miłość przedmiotu, owej Francyi republikańskiej, którą nazywa krajem wielkich doświadczeń społecznych, zasługującym za swe przodownictwo na wdzięczność i szacunek ludzkości. Od r. 1896 zaczął on pisać listy z Francyi do wymienionego wyżej miesięcznika i właśnie listy te z pięcioletniego okresu czasu mamy zebrane w grubym tomie; ale nie są to bynajmniej korespondencye dziennikarskie. Każdy list — to prawdziwie gruntowne i wszechstronne studyum. Autor jest nietylko wybornym stylistą i publicystą pełnym życia, ale zarazem w całem tego słowa znaczeniu uczonym socyologiem i erudytą, który np. w studyach swych odkrywa niespodziewane i ciekawe analogie między zjawiskami życia współczesnego a starożytnością klasyczną. Jest on przytem myślicielem, należącym do lewicy t. zw. subjektywnej, socyologicznej szkoły rosyjskiej. Jakkolwiek to ostatnie stanowisko autora sprawia, że — jak zobaczymy niżej — nie ze wszystkimi jego poglądami zgodzić się będziemy mogli, to jednak całość składa się na takie dzieło o Francyi współczesnej, jakiego nie posiada nietylko nasza literatura, ale — bez przesady — i wogóle europejska.

Książka rozpada się na cztery główne części: pierwsza mówi o narodzie i jego charakterze, druga — o klasach społecznych, trzecia — o nauce, literaturze i prasie, czwarta — specyalnie o walce reakcyi z postępem w dziedzinie ideowej i politycznej. Charakterystyka narodu francuskiego uderza oryginalnością i trafnością: „Francuz, brany pojedynczo, mówi słusznie p. K., bynajmniej nie jest taki sympatyczny, jak Francuz w łączności z innymi; społeczeństwo francuskie stanowczo lepsze jest od pojedynczych Francuzów. Weźcie dla porównania np. Rosyanina. Rosyanin, jako jednostka, często zdumiewać nas może swą potęgą, teoretyczną śmiałością myśli, umiejętnością zrozumienia cudzej psychiki, wrażliwością na zagadnienia umysłu i wymagania serca. Teraz zbliżcie się do Francuza z ową miarką „kochanego duszy - człowieka," którą zawsze skłonny jest stosować każdy porządny Rosyanin. Odrazu czeka was rozczarowanie: Francuz jest dość suchy, wyrachowany, niezbyt zdaje się rozumie trapiącą was sprawę służenia ideałowi lub obowiązków względem ludu, i roztacza przed wami całkiem mieszczańskie obrazy życia osobistego. Ale oto jakaś, czasami nawet drobna, okoliczność, poruszyła opinię publiczną — i natychmiast całe to morze wielomilionowych istot ludzkich zakołysało się. Fala bieży za falą — i oto ten sam pan, którego w głębi swej czułej i humanitarnej duszy piętnowaliście jeszcze wczoraj mianem „mieszczucha" i „natury zrównoważonej," dziś, na zgromadzeniu publicznem, w komitecie wyborczym, na ulicy, w redakcyi, burzy się, rzuca, wygłasza mowy, propaguje, zapominając o własnych interesach, machając ręką na perspektywy dobrobytu mieszczańskiego, wydając owe pieniądze, które tak skrupulatnie i zręcznie nagromadzał..."

Nie można w żaden sposób zrobić autorowi zarzutu, że jest zanadto optymistą lub zanadto pesymistą. Obie strony współczesnego charakteru francuskiego: indywidualistyczny albo rodzinny egoizm w życiu prywatnem, oraz wyrobienie polityczne, zrozumienie wpływu stosunków publicz-

---

zu, który spadł do 52° C., przytem kilku uczestników znowu odmroziło sobie nosy i palce. Gdy powietrze złagodniało, trzy oddziały wyprawy ruszyły znowu w pochód, a książę usadowił się na przylądku Fligely, gdzie od końca czerwca do 8-go kwietnia, nieprzerwanie obserwując przez lunetę obszar lodowy, oczekiwał pierwszych posłów. Ale ci nie przybywali w spodziewanym czasie, natomiast 18 kwietnia wrócił oddział drugi ze smutnem doniesieniem, że pierwszy przepadł. Wszelkie poszukiwania okazały się daremne. Od 19 maja książę każdego dnia spodziewał się Cagni'ego. Ale upływały tygodnie, a Cagni nie wracał. Dopiero 23 czerwca, po 104 dniach nieobecności przywlókł on się schudzony, w poszarpanej odzieży, z połamanemi saniami. Oto, jak sam opowiada swoje przejścia:

Odesławszy pierwszy oddział, Cagni z dwoma pozostałymi zaczął posuwać się ku północy. Zwały lodowe ciągle zagradzały drogę, wicher północny dął nieustannie, odsuwając lód, a wraz z nim idących, ku południowi. W ciągu czternastu dni stracili oni skutkiem tego 50 mil morskich. D. 30 marca, pod 80° 10' szerokości półn. Cagni odesłał drugą grupę, dawszy jej piędziesiąt cztery porcyj i zatrzymawszy dla siebie dwieście szesnaście, które mu pozwoliły jeszcze przez 18 dni posuwać się ku biegunowi. Był on teraz, wraz z trzema towarzyszami oddalony o 80 mil morskich od głównej kwatery, posiadał czterdzieści dziewięć psów i sześć sani. Z początku posuwano się łatwo, gdyż lód był równy. Wkrótce jednak zerwała się gwałtowna wichura, pola lodowe zaczęły się poruszać i spiętrzać aż do 15 metrów wysokości, potworzyły się kanały i jeziora, a raz gwałtowna śnieżyca zmusiła tę drobną garstkę ludzką do leżenia spokojnie przez kilka dni. D. 17 kwietnia, a trzydziestego ósmego wyprawy, przekroczono 85°. Był to dzień oznaczony na powrót. Ale nikt o tem nie myślał. „Dalej!" — zawołali wszyscy, chociaż porcye żywności musiały już być zmniejszone. D. 22 kwietnia dosięgnięto 86° — niewiele już pozostawało, ażeby dotrzeć do punktu Nansena. Nieopisany zapał ogarnął czterech bohaterów, „uścisnąłem, pisze Cagni, rękę Petigaxowi, dziękowałem mu za pomoc, chciałem mu powiedzieć, że go ściskam jak przyjaciela, że mu jestem wdzięczny, ale co mu powiedziałem, nie wiem, nie wiem również, czy on to słyszał. Wyjąkał tylko, że spełnił swój obowiązek, ale tak był wzruszony, że nie mógł z siebie więcej wydobyć ani słowa. Obaj rozpłakaliśmy się. Nakoniec zawołałem: „Dajcie flagę!" Wydobyliśmy ją z kajaku, przywiązałem do drążka i krzyknąłem: „Niech żyją Włochy! Niech żyje król! Niech żyje książę Abruzzów!"

W dalszym pochodzie Cagni uczuł się zmęczony, nogi pod nim się chwiały, a i psy trzeba było pobudzać biciem. Na nieszczęście lód rozłamał się i podróżnicy płynęli na wyspie. Wreszcie po jedenastogodzinnym marszu pobito Nansena. Rozłożono namiot i zatknięto chorągiew. Nazajutrz przy wietrze północnym i 40° zimna zaczęto posuwać się dalej i zatrzymano się dopiero przy 86° 31'. Był to kres wyprawy, uczczony okrzykami szalonej radości. Cagni złożył na tem miejscu trzy zamknięte puszki blaszane, w których schował piśmienny dowód bytności.

Rozpoczęto powrót: „Psy, jak gdyby to rozumiały, biegły tak szybko po dawnych śladach, że ledwie mogliśmy za nimi nadążyć. Usiedliśmy więc na sanie, po raz pierwszy w tej wyprawie. Przebiegaliśmy sześć kilometrów na godzinę. Następnego dnia, w którym zapał jeszcze nie ostygł, podróż odbywała się gładko. Ale wkrótce powstrzymała ją śnieżyca, a 1 maja — katastrofa. „Od kilku dni bolała mię prawa ręka i całe ramię. W nocy nie mogłem spać, a wreszcie zauważyłem, że mi gruczoły pod pachami nabrzmiały." Nazajutrz opadła mgła, zerwały się tumany śnieżne i wichry. Cagni spostrzegł, że palec mu spuchł i na końcu zczerniał. Tę czarną część odciął on lewą ręką: wypłynęła masa materyi. Wtedy poczuł ulgę. Następnie usunął kawałek martwego ciała, ale zobaczył, że i kości obumarły. „Przekonałem się w końcu o konieczności amputacyi, ale miałem tylko nożyczki, a ponieważ kość była twarda, więc przecięcie jej sprawiało mi wiele bólu. Na tę małą operacyę, na którą lekarz zużyłby trzy minuty, potrzebowałem dwóch godzin, ku wielkiemu strapieniu moich towarzyszów, którzy mi pomagali. Canepa nie mógł patrzeć i oddalił się."

nych na życie osobiste i gotowość do zbiorowej walki o takie lub inne formy polityczne—obie te strony p. Kudrin uwzględnia równocześnie, obserwuje dobrze w całym szeregu krajobrazów i poniekąd nawet tłomaczy. Ów egoizm, panujący w stosunkach prywatnych między Francuzami, sprawiający, że np. gościnność niezbyt jest tam rozwinięta, że Francuz nie znosi niespodziewanego gościa przy obiedzie, chociaż zaproszonego przyjmie, nawet wystawnie, że pożyczki pieniężne prawie się nie zdarzają itd. itd., pochodzi, jakkolwiek może się to wydawać paradoksem, z pojmowania życia, jako środka użycia, z tego dogmatu, że po wieloletniej pracy trzeba koniecznie zebrać sobie rentę i żyć w starości bez pracy. Systematyczne oszczędzanie przez całe życie jest jedynym środkiem, prowadzącym do tego celu, i w bardzo wielu wypadkach, jak to często bywa, samo staje się celem. Szczególniej dzieje się tak u chłopów. Charakterystyce wieśniaków francuskich poświęcił autor „Zarysów" dwa obszerne, wybornie napisane rozdziały. Wiele miejsca zajmują w nich gruntowne wywody statystyczne o rozkładzie własności ziemskiej i znaczeniu różnych warstw rolniczych, charakterystyka programów agrarnych różnych stronnictw, nie wyłączając skrajnej lewicy; znajdujemy tam również bardzo ciekawe dane o starych formach zrzeszenia, pochodzących jeszcze z czasów wspólnego władania ziemią i dotychczas trwających w tej nawskróś, zdawałoby się, zindywidualizowanej Francyi, i o innych formach zrzeszenia, powstających coraz liczniej syndykatach rolniczych. Ale i tu autor zwraca szczególną uwagę na charakterystykę obyczajów, na psychologię klasową, i śladami Balzaca, Cladela, Zoli, Maupassanta, maluje wymownymi rysami straszliwy, bezwzględny egoizm właścicielski chłopa francuskiego i jego ciasny pogląd na państwo, jako wyłącznie stróża jego własności i dobrobytu. Przytoczę tu chociaż jeden taki nadzwyczaj charakterystyczny rys. Oto autor, zauważywszy w wiosce nadmorskiej, że każdy chłop, względnie chłopka, sami wypędzają jedną krowinę na własny, ściśle odgraniczony kawałeczek pastwiska, opowiada im o wspólnych pastwiskach, na których paść się może całe stado pod dozorem jednego pastucha. Baba medytuje, wreszcie powiada: „Urządzenie to ma dobre i złe strony. Dobre jest w niem to, że jak moja krowa wyje całą trawę z mojego pastwiska, to może iść na działek sąsiada; ale że krowa sąsiada może przyjść na mój działek, to, widzi pan, jest źle..."

W mieście, w wielkiem mieście, czekają nas inne obrazy. Podział społeczeństwa na bogaczy i nędzarzy. Na nieszczęśliwych bogaczy i szczęśliwych nędzarzy, jak powtarza ironicznie autor za prasą bulwarową, litującą się nad losem słynnego smarkacza-rozrzutnika, Maksa Lebaudy, który, nabawiwszy się suchot w szeregu bezmyślnych hulanek, umarł, służąc w wojsku, jako każdy „najprostszy" Francuz. W procesie przeciw matce bronił go późniejszy zbawca Rzeczypospolitej, Waldeck-Rousseau, rozwodząc się całkiem poważnie nad społeczną funkcyą zbytku i rozrzutności, które puszczają w obieg nagromadzone bogactwa... Szczęście drugiej strony poznajemy także — w całym rozdziale o braku pracy i o budżetach rodzin robotniczych. A wszędzie z osobistą bystrą i — jakby to powiedzieć?— serdeczną obserwacyą łączy się umiejętne zużytkowanie licznych źródeł specyalnych. Oprócz życia ekonomicznego — warunków płacy i pracy, kooperatyw, związków zawodowych, poznajemy też przeszłość, dążenia i ideały społeczno-polityczne czwartego stanu we Francyi, mamy nawet cały rozdział o historyi stosunków tego stanu do mieszczaństwa w ciągu ubiegłego stulecia i drugi — o rozwoju stronnictw politycznych specyalnie za trzeciej rzeczypospolitej. (D. n.).

K. Krauz.

PATRYOTYZM.*)

Gdyby mi zarzucono nieuczciwość lub kłamstwo, czułbym się dotknięty do żywego; lecz gdyby mię oskarżono o brak patryotyzmu, przyjąłbym to dość obojętnie. „Jakto, więc pan nie kocha swojej ojczyzny?" Na takie pytanie niepodobna odpowiedzieć jednym wyrazem.

Względnie wczesne zniesienie niewolnictwa włościan w Anglii, rozwój ustaw liberalnych i uznanie w szerokim zakresie praw narodowych po upadku feodalizmu— to są takie fakty z życia angielskiego, o których z dumą myśleć można. Kiedy postanowiono, że każdy niewolnik, wstępując na ziemię angielską, staje się wolny; kiedy wydano zakaz przywożenia niewolników do kolonij; kiedy zapłacono 20 milionów za wyzwolenie ich w Indyach Zachodnich; utrzymywano całą flotę w celu niedopuszczenia handlu ludźmi, wówczas kraj nasz zasługiwał na najwyższe uznanie. Kiedy Anglia zaczęła dawać przytułek przestępcom i wyciągać dłoń pomocną do drobnych państewek, dążących do wyzwolenia się, były to z jej strony objawy szlachetności, które należało cenić; zdarzały się jednak i w jej życiu — a niestety w ostatnich czasach zbyt często zaczynają się powtarzać — czyny, wywołujące wprost odwrotne wrażenie. To, co uczyniła dla zdobycia przeszło 80 posiadłości: osad, kolonij, protektoratów itp., nie wzbudza miłego uczucia. Przeistaczanie misyonarzy naprzód w politycznych pośredników, potem w sędziów duchownych, rozporządzających zbrojnemi siłami, karzących osobniki wyłamujące się z pod ich rządów i kończących zazwyczaj na tak zwanem zażegnywaniu buntów; doraźne lub powolne przyłączanie kolonij, jak np. Barotzilandu, gdzie krajowców nie pytano o przyzwolenie, tak jak nie pytano zwierząt miejscowych, przejmuje wprost odrazą.

Jeszcze bardziej słabną uczucia me dla ojczyzny, gdy przypomnę sobie, jak premier naszych ministrów dowodził nam, że jesteśmy obowiązani moralnie dopomódz khedywowi do odzyskania Sudanu, a kiedyśmy go zdobyli, zaczęliśmy sprawować w nim rządy z ramienia królowej i khedywa niby, to jest właściwie, zawładnęliśmy krajem. Potem znów, pomimo że przez usta dwóch ministrów przyobiecaliśmy nie mieszać się do życia wewnętrznego Transwalu, zaczęliśmy domagać się jednak zaprowadzenia pewnych zmian w ustawie wy-

*) Szkic ten znajduje się w ostatnim zbiorze luźnych artykułów, pisanych w różnych okresach czasu, które H. Spencer wydał w 1902 r. pod ogólnym tytułem: „Pacts and Comments."

Dnia 5 maja podróżnicy uczuli straszny głód. Wieczorem, jak to czyniono od czternastu dni, zarznięto psa, ażeby oszczędzić żywności. Pozostało już tylko psów dwadzieścia osiem z czterdziestu dziewięciu.

Dnia 8 maja Cagni spostrzegł z przerażeniem, że prąd odnosi ich na zachód. Daremnie zmienia kierunek. Nadto ciągłe burze, zmęczenie i reparacya sani zmuszają do długich odpoczynków. Palec Cagni'ego ciągle ropieje, oczy jego towarzyszów ulegają zapaleniu. „Właściwie winienem był obmyć palec sublimatem, ale brakło mi czasu i nafty. Narażałem się na ogólne zakażenie, ale było ono najmniejszem z niebezpieczeństw, które nam groziły."

D. 20 maja rewiduje on zapasy; pozostało jeszcze jedenaście pełnych porcyj, nadto czterdzieści cztery kilogramy konserw mięsnych, tak że żywności mogło starczyć do 7 czerwca. Z dwudziestu jeden psów można było zabić pięć. Była jeszcze skrzynka nafty, która wystarczyłaby do 10 czerwca, gdyby wyprawa wyrzekła się picia po jedzeniu, gdyż każdą kroplę wody trzeba było zdobywać przez topienie śniegu.

Dnia 29 maja, gdy Cagni odkrył, że został odrzucony od zatoki Cieplickiej o 6° długości na zachód, rozpoczęło się przechodzenie z jednej kry na drugą. Dnia 7 czerwca Cagni stwierdził, że po ośmiodniowym pochodzie pozostawał ciągle na tem samem miejscu, wtedy uważał się za zgubionego. Pod datą 8 czerwca pisze: „Z obawy nie mogę spać. Troskę jednak przemaga myśl o mojej narzeczonej, matce i księciu. Położenie moje rozważam chłodno. Posiadamy jeszcze dwadzieścia cztery kilogramy konserw mięsnych; jeśli je zjemy w ciągu ośmiu dni, pozostają nam jeszcze psy, które mogą nas karmić przez dwadzieścia pięć dni. Przed upływem tedy miesiąca nie zabije nas śmierć głodowa, a tymczasem dotrzemy do przylądka Flora.

Nareszcie d. 9 czerwca Petigax dojrzał ląd na wschodzie. „Serca nasze zabiły silniej. Czuliśmy, niby powstający z grobu." Była to wyspa Harley, która leży o pół stopnia na południe od wyspy arcyksięcia Rudolfa. Dnia 13 czerwca weszli do zatoki Lodowej, której przebycie okazało się nader trudnem; o godzinie 6-ej wieczorem wyprawa wkroczyła na ląd. Dnia następnego puścili się w pochód na północ przez wyspy Harley i Ommaney. Dnia 16 czerwca musiano zabić ulubionego psa Cagni'ego, „Grosso," który urodził się na „Framie." Ten dar Nansena nie mógł użyteczniej użytecznego życia swego zakończyć." We wtorek 19 czerwca położenie się pogorszyło. „Nie mogę spać — pisze Cagni — wiatr wschodni grozi nam znowu odrzuceniem na zachód w ramiona śmierci. Mamy już tylko sześć psów i trochę soli. Zepsuł nam się też ostatni kocioł." Dnia 21 czerwca doznaje Cagni takiego jasnowidzenia, jakie nawiedza czasem umierających na krótko przed śmiercią: przypominają mu się małoznaczące i dawno zapomniane zdarzenia. „Czyżby to miał być koniec?" A tymczasem wyprawa popada w wielkie niebezpieczeństwo, bo pęka lód, oni zaś zostają na kawałku kry, który ma dziewięć metrów szerokości i długości. Dokoła tworzy się wolne od lodu przejście. Wówczas Cagni rozpina żagiel kajaka i przy pomocy wiatru południowego płynie na północ. Dwie godziny trwała ta szczególna żegluga; nagle zamknęło się przejście dla podróżników: w poprzek drogi stanął zwał lodowy, o który kra, pędząca niepowstrzymanie, rozbić się musiała niechybnie. Lecz w tejże chwili nieszczęśliwi dali z niej skok na zwał i wszyscy czterej uratowani zostali. Po przejściu pierwszego wrażenia i uczucia strachu puścili się gorączkowo w dalszą drogę i o dziesiątej wieczorem dosięgli na wyspie Aleksandra najbardziej na północ wysuniętego przylądka Czeskiego.

Po północy z 22 na 23 czerwca dostali się nakoniec na południowy cypel wyspy arcyksięcia Rudolfa, przebrnęli lodowce i o ósmej rano stanęli w głównej kwaterze.

Tak więc Cagni prześcignął Nansena głównie dlatego, że czasami do dziesięciu mil morskich robił na dzień, kiedy Nansen, tylko pięć. „Ale nawet taka szybkość wyprawy saniami — pisze książę Abruzzów — nie wystarczy dla przebycia w czasie jednego krótkiego lata przestrzeni, dzielącej wyspę Franciszka Józefa od bieguna północnego." Na zakończenie dodaje książę: „Okolice podbiegunowe dostępne są tylko, dla dobrze przygotowanych i zdecydowanych na wszystko, lecz straszne dla lekkomyślnych i zbyt zaufanych w swe siły."

borczej, a odpowiedź odmowna posłużyła nam za powód do wypowiedzenia rujnującej, zaborczej wojny *). Nie zasługuje też, mojem zdaniem, na miłość objaw uczucia narodowego, znajdującego ujście w owacyi, urządzonej wodzowi flibustyerów lub w hałaśliwych oklaskach niedojrzałej młodzieży, witającej tego, kto szydził z „biblijnej cnoty,“ protestującej przeciw jego planom zaborczym. Jeżeli zarzucą mi brak patryotyzmu na tej zasadzie jedynie, że miłość moja dla kraju ojczystego nie znosi podobnych czynów, zgadzam się na nazwę niepatryoty.

Wstrętnem jest powiedzenie: „To moja ojczyzna bez względu na to, czy postępuje słusznie, czy nie.“ Jeżeli słowa te wynikają z prawdziwej miłości dla kraju, to można je jeszcze wytłomaczyć, gdy kryją maskę obłudnika, jakże nieskończenie nizkiem będzie wyrażone w nich uczucie! Weźmy dwa przykłady: Przypuśćmy, że ojczyzna nasza postępuje słusznie, wyobraźmy sobie np., że idzie bronić się przeciwko tym, którzy chcieliby ją zagarnąć. W takim wypadku myśli i uczucia, zawarte w owych słowach, zupełnie są uzasadnione. Samoobrona nietylko może być usprawiedliwiona, ale jest nawet obowiązkiem każdego. A teraz przypuśćmy inny wypadek: że naród nasz wkroczył na cudze terytoryum, lub też siłą narzuca nowe porządki, zmianę ustroju wewnętrznego narodowi, który tego nie pragnie, któremu to zupełnie niepotrzebne; że utrzymuje w obcem państwie swoich agentów politycznych, którzy „wymierzają kary“ śmiałkom, niechcącym się im poddać; przypuśćmy, że ojczyzna nasza popełnia czyny, uznane powszechnie za niesprawiedliwe. Jakiż wtedy będą miały sens powyższe słowa? Słuszność jest po stronie tych, którzy nam się opierają, niesłuszność — po naszej. Jakże mam się wyrazić w takim wypadku, aby zasłużyć na nazwę patryoty? Oczywiście powinienbym zawołać: „Niech giną sprawiedliwi! górą ucisk!“ Ludzie dawniejsi wierzyli—a wiara ta przechowała się u wielu jeszcze do dnia dzisiejszego — że zło, wcielone w istotę, krąży po świecie, zawsze i wszędzie walcząc z dobrem. Czy można treściwiej określić cel takiej istoty, niż powyższemi słowy: „Precz ze sprawiedliwością, górą niesprawiedliwość?“ Jak wydałoby się podobne hasło tak zwanym patryotom?

Przed laty zdradziłem się raz z uczuciami, które bez wątpienia nazwiecie niepatryotycznemi. Było to w czasie drugiej wojny o Afganistan, kiedy Anglia, w imię tak zwanego „naszego dobra“ zdobywała ten szmat ziemi. Nadeszły wieści o niebezpieczeństwie, w jakiem znajdować się miały niektóre wojska nasze. W klubie „Atheneum“ pewien znany oficer, w owym czasie kapitan, obecnie już generał, zwrócił uwagę moją na telegram, zawierający tę wiadomość, i przeczytał mi go, oczywiście przekonany, że podzielam jego wzruszenie. To też odpowiedź moja zdziwiła go niezmiernie: „Kiedy ludzie godzą się z cudzego polecenia zabijać innych, nie interesując się słusznością lub niesłusznością sprawy, nie wzrusza mnie wcale śmierć ich własna.“ Zarzucicie mi może: wychodząc z takiego założenia, musimy uznać za niedorzeczną całą organizacyę wojskową; niepodobna pozwolić, aby każdy żołnierz krytykował cel bitwy; to by obaliło cały system wojskowy, a kraj nasz stałby się własnością pierwszego lepszego, który pokusiłby się o jego zdobycie.

„Nie spieszcie się z wnioskami“ — mógłbym wam odpowiedzieć. Wojsko jest potrzebne na wypadek jednego tylko rodzaju wojny, mianowicie w celach obrony narodowej. Wówczas każdy żołnierz odczułby głęboko sprawiedliwość i słuszność swoich czynów. Nie podejmowałby się zabijania ludzi, o których nie wie nic złego, ani dobrego, lecz z całym zapałem występowałby przeciwko gwałcicielom jego praw, zarówno osobistych, jak i praw całego kraju. Można nieuznawać wojny zaczepnej, nigdy zaś obronnej.

Tu moglibyśmy zarzucić zresztą słusznie, że jeśli nie będzie wojny zaczepnej, nie będzie też i obronnej! Rzecz jasna jednak, że jakiś naród może poprzestawać na obronie, chociażby inne tego nie czyniły. Tym sposobem mój wniosek miałby racyę bytu. Ci jednak, którzy wołają: „To moja ojczyzna, bez względu na to, czy postępuje słusznie, czy niesłusznie!“ i którzy chcieliby do naszych osiemdziesięciu kilku posiadłości dodać jeszcze inne, z oburzeniem przyjęliby projekt takich ograniczeń militaryzmu. Za największe szaleństwo uważaliby oni wprowadzanie w poniedziałek w czyn tego, co w niedzielę głosili z ambon.

Z angiels. H. Spencera.

*) Bałamucą nas nieustannem powtarzaniem, że Boerowie sami wszczęli wojnę. Na krańcach zachodu Stanów Zjednoczonych, gdzie każdy samodzielnie rozporządza swem życiem, i gdzie przepisy wojenne doskonale są rozumiane, raz na zawsze przyjęty jest zwyczaj, że wojnę zaczyna ten, kto pierwszy się uzbraja. Zastosowanie reguły tej ,aż nadto jest oczywiste.

(*Przyp. autora.*)

Zaburzenia częstochowskie.

Dawno już nie mieliśmy w kraju tak smutnego procesu, jak ten, który odegrał się przed kratkami sądu częstochowskiego. Powód i przebieg rozruchów znane są wszystkim. Często wśród drobnych handlarzy żydów zdarzające się nieuczciwości w sprzedaży i zuchwała brutalność w obejściu wywołała tym razem odwet masowy, w którym za jednego odpowiedziało wielu. Obecnie, po odbytej rozprawie i po zapadłym wyroku należy tylko w kilku słowach zaznaczyć, jak ponure światło rzucają te zaburzenia na stan kulturalny ludności naszej wogóle, tak żydowskiej, jak chrześciańskiej. Gdyby nie krzywda, która spotkała Krukową od przekupnia żydowskiego, nie byłoby bezpośredniej przyczyny rozruchów, nie ujrzelibyśmy takiego rozpasania nizkich instynktów, takiego ujawnienia nienawiści rasowej, takiej krzywdy ludzkiej, takiego sponiewierania człowieczeństwa. Proces był imponujący: przed kratkami sądowemi stanęło 75 oskarżonych, a świadków powołano 208. Za winnych uznano pięćdziesięciu czterech. Podzielono ich na trzy grupy: do pierwszej zaliczono 31 oskarżonych, których skazano na roty aresztanckie, więzienie i pozbawienie wszystkich szczególnych praw i przywilejów, do drugiej — skazanych na więzienie bez pozbawienia praw, do trzeciej — skazanych na areszt policyjny. Siedemnastu uniewinniono. Winni zostali więc surowo ukarani. By wypadki takie nie mogły się powtórzyć, trzeba w te tłumy ciemne, zarówno chrześciańskie, jak żydowskie, wnieść światło nauki, miłości i braterstwa, dać im wrażliwość na cudzą krzywdę, bodaj najmniejszą i pragnienie cudzego dobra.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Małpia astronomia.

Proszę rodziców, ażeby dzisiejszy mój fejleton ofiarowali swoim dorosłym dzieciom, jako dar gwiazdkowy.

Pewnej nocy — opowiada bajka — małpy, łupiąc winnicę, prowadziły bardzo ożywioną rozmowę.

— Rozkoszna noc! Jaka to szkoda, że podobnie ciemnych jest bardzo niewiele i że prawie codzień włóczą się po niebie te szpiegi ze świecącemi gębami...

— Ilu ich właściwie jest?

— Łatwo policzyć. Jeden ma twarz okrągłą — ten jest najstraszniejszy, bo wszystko widzi, drugi — na pół przekrojoną, trzeci — sierpowatą...

— O, nie, są jeszcze inni, którzy swoje wklęsłe gęby obracają na prawą lub lewą stronę.

— Więc ileż być może razem księżyców? Chyba ze dwadzieścia. Każdy z nich stróżuje tylko przez jedną noc i powraca na wartę dopiero wtedy, gdy inni swą kolej odbędą.

— Prostaki z was! — odezwał się stary szympans, który dotąd milcząco osmykiwał winne grona. Zaraz znać, żeście nie byli w żadnej szkole i nie wychodzili nigdy z lasu. Księżyc jest tylko jeden.

— To niepodobna! A skąd ty wiesz o tem?

— Ze szkoły, w której kształciłem się przez sześć lat. Kiedy siedziałem w klatce ogrodu zoologicznego, z której przeszłego roku uciekłem, wyuczyłem się nieźle języka człowieczego i słyszałem, co mówią między sobą ludzie bardzo mądrzy, chociaż są między nimi również bardzo głupi. Otóż ci mądrzy twierdzą, że księżyc jest jeden, a wygląda rozmaicie dlatego, że mu ziemia twarz zasłania cząściowo lub całkiem.

— Ależ to brednie! Przecież ona go wcale nie dotyka...

— To nic nie znaczy: rzuca na niego swój cień.

Małpy zamyśliły się nieco nad tem dziwnem oświadczeniem, ale ono ich nie przekonało. Przyciszywszy głos, ażeby stary szympans dalszej ich rozmowy nie słyszał i nie karcił, szeptały:

— Rozumie się, że najbezpieczniej dla nas, kiedy żaden z księżyców na niebo nie wyłazi. Wtedy można bezkarnie zakradać się do ogrodów i nikt nas w zmroku nie dojrzy.

— Ale i te sierpowe są niezłe, bo mdła ich jasność nie płoszy cieniów między drzewami.

— Jednakże przy takiem świetle dozorca winnicy zabił naszą matkę.

— Nic dziwnego — strzelił w całą gromadę.

— Nie. Biedna matka nasza konając, powiedziała: strzeżcie się moje drogie dzieci księżyców sierpowych, bo one oślepiają małpy a zaostrzają wzrok ludziom.

Nie wątpię, iż nawet najmłodsi z moich czytelników wiedzą, że księżyc jest rzeczywiście jeden i że rozmaite jego oblicza — jak słusznie wytłomaczył stary szympans — zależą od większego lub mniejszego cienia, padającego nań od ziemi. Ale nie wszyscy może zauważyli, że zasady owej małpiej astronomii są często stosowane przez ludzi i to w granicach daleko obszerniejszych, niż sfera księżyca. Zachowały się one w naszej tradycyi jeszcze od tej epoki, kiedy ród człowieczy znajdował się w łańcuchu biologicznym blizko ogniwa czwororęcznych. Wprawdzie od tych czasów aż do obecnych pracuje on ciągle z widocznem powodzeniem nad poprawą swego myślenia, nie zdołał go jednak udoskonalić o tyle, ażeby jego osobniki nie prowadziły niekiedy takich rozmów, jak wyżej przytoczona w winnicy. Ponieważ to ogólnikowe zapewnienie mogłoby moim młodym czytelnikom wydać się bądź niewiarogodnem, bądź niezrozumiałem, więc dla uzasadnienia go muszę przytoczyć kilka dowodów.

Był pewien mąż, który się jąkał. Zabrawszy głos na licznem zebraniu, w którem obradowano nad balonami, rzekł: „Ludzkość liczyć będzie nową erę od chwili, kiedy *baal*“... Zerwał się ryk. Część słuchaczów zaczęła tupać nogami, gwizdać i wrzeszczeć: „Precz z bluźniercą! Za drzwi go! To bezczelność! Ani słowa więcej!“

Mówca blady, zdumiony, niepojmujący wywołanej burzy, zszedł z trybuny, na którą wbiegł zapieniony mściciel: „Pierwszy raz w dziejach, a niewątpliwie pierwszy raz z tego miejsca bezecne usta ośmieliły się zalecać nam cześć Baala. Szaleniec, który tego dokonał, chyba nie wie, że to pogańskie bożyszcze karmiło się ofiarami ludzkiemi, że...“ itd. huczał pogromca. „Ale pan...“ zawołał zrozpaczony jąkała. — „Co znowu? Słyszeliście? Chce do nas wprowadzić kult Pana, pogańskiego straszydła z rogami i kozią brodą!“— Chór zagrzmiał: „Dosyć, dosyć!“ I mniemany poganin został wyrzucony z sali.

Otóż, moi młodzi przyjaciele, jeśli wam kiedykolwiek zdarzy się być świadkami podobnego widowiska, nie podnoście piekielnej wrzawy i pozwólcie jąkającemu się mówcy dokończyć wyrazów, a gdyby tego uczynić nie mógł, odgadnijcie, że on chciał powiedzieć: „Ludzkość liczyć będzie nową erę od chwili, kiedy balony staną się środkami komunikacyi,“ potem zaś: „Ale panowie, ja nie myślałem o Baalu.“

Był na jednej z wysp azyatyckich niewolnik, który wyrzeźbił swego pana, ogryzającego rękę ludzką. Rozgniewany władca darował winowajcy życie, ale za karę kazał mu odtąd ciągle rysować wszystko liniami bez cieniowań i farb a podpisywać pod każdym konturem: *rzeźba z marmuru*. Gdy z czasem wymarli ci, którzy znali artystę i pamiętali o wyroku, gdy przyszły nowe pokolenia, zaczęły z niego naigrawać się i ogłosiły go za waryata. „Szczególny głupiec! — mówiono. — Umie tylko wiązać linie, a zdaje mu się, że jest snycerzem. On widocznie nie zna nawet różnicy pomiędzy płaszczyzną a bryłą.“

Moi młodzi czytelnicy, jeśli kiedykolwiek zobaczycie rysunek z podpisem objaśniającym, że to ma być rzeźba, nie dostrzegajcie w nim obłędu, lecz przypuśćcie jakąś konieczność.

Był Murzyn, który, sprowadzony z głębi Afryki do nadbrzeżnej kolonii, zaraz po przyjęciu służby w domu europejskim ujrzał przez otwarte drzwi zapaloną choinkę wigilijną. Zdziwiony i przestraszony tym cudem, uciekł w nocy do rodzinnej wsi, gdzie opowiadał swoim rodowcom: „Własnemi oczami widziałem drzewko iglaste, wyrosłe z podłogi, które urodziło nietylko rozmaite owoce, ale nawet płonące świeczki. Potężni czarodzieje biali! Gdybym był u nich pozostał, z pewnością zamieniliby mnie na wieprza i zjedli.“

Moi młodzi przyjaciele, jeśli spotkacie coś pozornie tak dziwnego, jak choinka wigilijna, nie sądźcie, że jest to robota czarodziejska, lecz zbadajcie, czy rzeczywiście sosenka wyrasta z podłogi, czy rzeczywiście rodzi owoce i płonące świeczki.

Był prostak, który po raz pierwszy znalazł się nad morzem w chwili, kiedy na dno spuszczano nurka. Widząc szczególną jego postać ze lśniącą skórą, z głową bez włosów, z ogromnemi szklannemi oczyma, uwiązanego na linie i zanurzającego się w głęboką topiel, mniemał, że to jest straszne zwierzę, którego ludzie używają do połowu ryb w otchłaniach morza. Ślubował też sobie, że nigdy w niem nie będzie się kąpał z obawy, ażeby go ten potwór nie pochwycił i nie pożarł.

Moi młodzi czytelnicy, jeżeli kiedykolwiek zobaczycie potwora, mającego pewne kształty ludzkie, przekonajcie się, czy w nim nie tkwi człowiek.

I tak postępujcie w każdym wypadku, który was może omamić złudzeniami, jak lunacye księżyca omamiają małpy. Gdybyście postanowili być głupcami, potwarcami i łgarzami; gdybyście w tej sztuce i umiejętności widzieli najwyższą dla siebie chwałę i korzyść, to naturalnie zapomnijcie o mojej przestrodze i uprawiajcie małpią astronomię. Ale jeżeli chcecie być rozumnymi ludźmi, wszystkie objawy należycie pojmować i słusznie oceniać, unikajcie jej starannie i nie sądźcie, że księżyc, który ukazuje tylko wązki sierp swej tarczy, istotnie tak wygląda i jest różnym od występującego w pełni. Odmienność tę bowiem wytwarzają cienie ziemi. Człowiek zaś nie powinien mniej wiedzieć i błędniej wnioskować, niż szympans, który kilka lat przebył w klatce i przysłuchiwał się rozmowom mądrych ludzi.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

Jak powstała monarchia litewska?

Za założyciela monarchii litewskiej słusznie się poczytuje książę, a następnie król Mendog. Przed nim, tj. aż do początków w. XIII istniały na Litwie tylko drobne związki społeczne, które stanowiły całości zupełnie odrębne. Istoty tych wspólnot badacze przeszłości litewskiej — o ile mi wiadowo — ściśle nie określają. Najnowsze dzieło, opisujące ustrój polityczno-społeczny Litwy [1]), daje tym związkom nieokreśloną nazwę społeczności. Tymczasem istotę ich można — o ile mi się zdaje — odsłonić w sposób następujący. Wiadomości nasze o życiu Litwinów aż do XIII w. są nader skąpe. Wobec tego musimy przy badaniu przeszłości litewskiej postępować metodą wsteczną, tj. na podstawie faktów z życia Litwinów w w. XIII wyciągać wnioski o życiu ich w wiekach poprzednich. Musimy także uciekać się do analogii z życia innych plemion litewskich. Takie postępowanie zupełnie jest uprawnione, ponieważ życie całego szczepu litewskiego rozwijało się w jednakowych mniej więcej warunkach.

Otóż, co się tyczy początków w. XIII, wiemy ze źródeł historycznych, że Litwini ulegali podówczas władzy pięciu książąt, których imiona przytacza nam kronika wołyńska. Byli to: najstarszy książe Żywinbud, następnie Dowiat, Dowsprunk, Mendog i Wilikajł. Wr. 1219 zawarli oni pokój z książętami ruskimi Romanem, Danielem i Wasilkiem [2]). W r. 1245 książe Aleksander Newski zadaje Litwinom porażkę pod Toropcem, przyczem ginie bardzo wielu książąt litewskich, bo — według kroniki sofijskiej — aż 50 [3]). Źródła historyczne wymieniają też licznych książąt u innych plemion szczepu litewskiego — Jadźwingów, Łotyszów i Prusów.

Ciekawą dla nas jest wiadomość, sięgająca w. IX. Zwiedził podówczas krainę pruską podróżnik anglosaski Wulfstan, którego opowieść z podróży przekazał nam król angielski Alfred W. w przekładzie historyka hiszpańskiego Orozyusza. Otóż według słów Wulfstana „ziemia Estów (tj. Prusów) bardzo obszerna i ma wiele miast, a każde miasto ma swego króla; mają także wiele miodu i obfite rybołówstwo, król i najmajętniejsi piją mleko kobyle; niezamożni i niewolnicy piją miód; między sobą prowadzą wiele wojen“.....[4])

Opis ten przedstawia nam społeczeństwo pierwotne już zróżnicowane: są tu majętni, niezamożni i niewolnicy. Walki, które toczyły pomiędzy sobą poszczególne związki, mające na czele królów, każą przypuszczać, że każdy związek rościł prawo własności do pewnego obszaru ziemi. W tem przypuszczeniu utwierdza nas wiadomość, że kraina pruska wiele miast już posiadała. W tem podaniu Wulfstana może się mieścić pewna omyłka, ponieważ świadectwa późniejsze co innego stwierdzają. Według Gallusa i Kadłubka, opisujących wyprawy książąt polskich przeciwko Prusom, plemiona te miast nie posiadały, budowały jednak twierdze przeciw napaściom nieprzyjaciół. Więc być może, że i Wulfstan te punkty miał na myśli, gdy wymieniał je w swej opowieści. Mogły to być także jakieś większe targowiska, gdyż do jednego z owych miast, mianowicie jakiegoś Truso, podróżnik sam zawijał. Cokolwiekbądź, nie ulega wątpliwości, że u Prusów istniały pewne punkty, w których skupiało się życie każdego odrębnego związku społecznego. Tu właśnie była siedziba księcia, w którego rękach spoczywała władza naczelna. Musiała ona rozciągać się na oznaczony obszar ziemi, odgraniczony od obszaru, który należał do sąsiedniego związku społecznego. Otóż, jeżeli uwzględnimy ten jeszcze fakt, że wszystkie plemiona szczepu litewskiego pędziły już dawno życie osiadłe, musimy na owe wspólnoty społeczne zapatrywać się nieinaczej, jak na zawiązki organizacyi państwowej. Przecież państwo jest to organizacya ludności osiadłej, która ulega jednej władzy i zajmuje pewne oznaczone terytoryum.

Powstaje teraz pytanie, co to były za czynniki, pod których działaniem owe luźne związki społeczne na Litwie połączyły się w jedną całość polityczną? Jako odpowiedź na to pytanie, utarł się pogląd w dziejopisarstwie, że były to czynniki zewnętrzne. Wiadomo, iż w początkach XIII w. nad dolną Dźwiną i Wisłą usadowiły się dwa zakony rycerskie, inflandzki i teutoński, które, podbijając ziemie litewskie z dwu stron, zagroziły zagładą całemu szczepowi. Otóż w tej walce o byt obudziła się śród plemion litewskich świadomość, że ścisłe łączenie się w większe związki w celu odpierania nieprzyjaciół jest koniecznością. Wyrobić sobie wszakże spójni z pierwiastków własnego życia ludy liskie nie były w stanie, skutkiem czego musiały szukać oparcia w państwach najbliższych sąsiadów. Łotysze uznali nad sobą władzę księcia połockiego, Prusowie poddawali się zwierzchnictwu książąt Pomorza. Jednakże te próby stworzenia ściślejszej organizacyi państwowej okazały się bezskuteczne: książęta połoccy i pomorscy nie mieli ani sił po temu, ani czasu, aby z luźnej grupy klanów litewskich wytworzyć państwo spoiste, które mogłoby walczyć skutecznie z Niemcami. To też Łotysze ulegli przemocy Kawalerów Mieczowych, Prusów zaś dosięgnął los jeszcze gorszy, bo doszczętne niemal wytępienie. Skutkiem tych podbojów zbliżyli się rycerze niemieccy do ziemi Litwinów i Żmudzinów, a nad temi ludami zawisła także groźba zagłady politycznej i narodowej. Ocaliło je położenie geograficzne — w głębi krajów litewskich. Gdy pobratymcy ich, Łotysze i Prusowie, toczyli walkę rozpaczliwą w obronie swej samoistności, Litwinom udało się wytworzyć ustrój państwowy, który zabezpieczył ich od nieprzyjaciół. Sił zaś do walki z nimi zaczerpnęli ze stosunków swoich z Rusią w przeciągu w.XIII. Cóż to były za siły? Najpierw łupy wojenne, potem nabytki w ziemiach ruskich i ludności ruskiej.

Monarchia litewska, zdaniem historyka rosyjskiego, Antonowicza [1]), ukształtowała się skutkiem nacisku, wywieranego na plemio-

[1]) M. Lubawski: „Litewsko-ruskij siejm.“ Moskwa 1900, str. 37—39.

[2]) Juliusz Latkowski: „Mendog.“ Rozprawy wydz. hist. filozof. Akad. Um. w Krakowie t. XXVIII, str. 312.

[3]) tamże str. 302.

[4]) Ant. Mierzyński: „Źródła do mitologii litewskiej. Warszawa 1892 str. 35.

[1]) „Oczerk istorii wielikawo kniażestwa Litowskawo dó smierti Olgierda“ (Monografii po istorii zapadnoj i jugo-zapadnoj Rusi. Kijew, t. I).

na litewskie przez zakony niemieckie. Toż samo twierdzą i historycy polscy: „Przez długie wieki — powiada Smolka [1]) — widzimy szczep litewski, szeroko rozrosły nad Baltykiem, w rozbiciu zupełnem i uśpieniu, jak gdyby w nim nie było żadnej siły twórczej, żadnej zdolności organizacyjnej. Ofiarą tego rozbicia padły też oba nadmorskie plemiona Litwy, wystawione na zaczepki, następnie na podbój dwóch zakonów rycerskich, którym mimo bohaterskiego oporu obronić się nie zdołały. Właściwą Litwę ocaliło tylko jej położenie geograficzne w głębi lądu stałego, w odległości od ognisk potęgi krzyżackiej.“ Pogląd taki, według naszego mniemania, grzeszy wprost anachronizmem, jak to dalej postaramy się udowodnić. Ale przedtem zaznaczymy pewną odmianę tego poglądu, zresztą ciekawą i nader charakterystyczną. Historyk rosyjski, Daszkiewicz [2]) sądzi, że objaśniając sprawę kształtowania się monarchii litewskiej, należy uwzględniać nietylko nacisk ze strony zakonów niemieckich, ale także i nacisk, który wywierali na plemiona litewskie Rusi i Polacy. Od czasów Włodzimierza W. książęta kijowscy podejmowali wyprawy w głąb Litwy i zmuszali ją do płacenia haraczu. Samo nawet sąsiedztwo Rusów z Litwinami nie mogło pozostać bez wpływu na powstanie idei państwa u Litwinów.

Uzasadnijmy teraz zarzut anachronizmu, uczyniony przez nas historykom, według których państwo litewskie ukształtowało się pod naciskiem zakonów niemieckich. Pierwszy hufiec rycerzy Zakonu teutońskiego przybył nad brzegi Wisły w r. 1228. Wisłę zaś przekroczył w r. 1231; tj. rozpoczynał dopiero swoje podboje w ziemi Prusów w tej właśnie chwili, kiedy Mendog kładł podwaliny pod swoją monarchię litewską [3]).

Wobec tych dat znaczenie zakonu niemieckiego, jako czynnika, który miał ukształtować państwo litewskie, staje się ilością urojoną. To samo da się powiedzieć mniej więcej i o zakonie Kawalerów mieczowych. Zakon ten założono w r. 1201. Postępy oręża rycerzy były nader szybkie w kraju nad Dźwiną. Już w r. 1219 prawdopodobnie panowanie niemieckie sięgało granic Żmudzi i Litwy, już w tym roku zapewne odbyła się pierwsza walka Litwinów z Niemcami. Ale kto wystąpił zaczepnie? Litwini. Wtargnąwszy w posiadłości zakonu, które srodze spustoszyli, zadali „państwu inflanckiemu dotkliwą klęskę“ [4]). W dziesięć lat później Zakon odnosi zwycięztwo nad Litwinami, ale zwycięztwo to musiało być — powiada historyk [5]) — zwycięztwem Pyrrhusa, skoro mistrz inflancki rozpoczyna wkrótce potem zabiegi o połączenie swego Zakonu z Zakonem niemieckim. Wobec tych faktów możeż być mowa o jakimś nacisku ze strony państwa zakonnego nad Dźwiną w tej epoce, kiedy Mendog utrwalił swoje jedynowładztwo na Litwie? Co więcej, w tym samym roku (1236), kiedy Mendog zdobył już godność wielkoksiążęcą, Litwini tak potężny cios zadali Zakonowi inflanckiemu, że się ostał *on* jedynie tylko dzięki związkowi z zakonem niemieckim [6]).

Jeśliby kto chciał twierdzić, że już sama obecność Niemców nad Dźwiną i podbój przez nich Łotyszów mogły się wydawać groźne Litwinom i pobudzać ich do większej łączności, ten musiałby uznać książąt litewskich za polityków nader przenikliwych, bo przewidujących niebezpieczeństwo, które nad krajem ich nie było

[1]) „W pięciowiekową rocznicę,“ Kraków, 1886, s. 97.

[2]) N. Daszkiewicz: „Zamietki po istorii litowsko-russkowo gosudarstwa,“ Kijów, 1885, str. 14—15.

[3]) J. Latkowski, l. c., str, 322—333.

[4]) Tamże, str. 316—317.

[5]) Tamże, str. 323.

[6]) Tamże, str. 624—625.

jeszcze zawisło, ludowi zaś litewskiemu przypisywać tak wysoki stopień uspołecznienia, jakiego nie posiadają ludy daleko bardziej posunięte w rozwoju społecznym.

Co się tyczy drugiego poglądu, który wyżej wymieniliśmy, ma on poniekąd tę słuszność, że istotnie walki obronne Litwinów z Rusami musiały przyczynić się znacznie do ścieśnienia węzłów pomiędzy poszczególnemi gromadami społecznemi na Litwie.

Przechodzimy teraz do wyłuszczenia własnych zapatrywań. W życiu Litwinów przed ustaleniem się jedynowładztwa spostrzegamy następujący objaw znamienny. Wobec napaści ruskich aż do połowy XII w. zachowują się oni zgoła biernie, bronią się tylko lub raczej, ulegają przemocy, zmuszeni oddawać swój kraj na pastwę najezdnikom i opłacać im haracz w ludziach i dobytku. Stosunek ten później zupełnie się zmienia. Litwini zaczynają występować zaczepnie, Ruś zaś poprzestaje na obronie własnej ziemi, a w końcu uznaje nad sobą panowanie litewskie. Jak sobie tłomaczyć mamy ten zwrot w życiu Litewskiem? Od połowy XII w. wojna stała się dla Litwinów rzemiosłem — że tak powiemy — powszedniem, które żywiło ich przeważnie. Zasoby własnego kraju barbarzyniec litewski umiał zużytkowywać tak, jak mu na to pozwalały uzdolnienia jego do pracy i stan techniki gospodarczej. Więc żywiło go łowiectwo, bartnictwo, rybołówstwo i rolnictwo, przyczem uprawiano nieznaczne szmaty ziemi, bo kraj cały pokrywały lasy dziewicze i bagna rozległe. Technika gospodarcza pozostawała i w wiekach późniejszych na tym samym prawie szczeblu rozwoju, więc była ona taką samą w wieku XI, jak i w w. XII. Do połowy tego stulecia Litwin mógł zaspakajać swe potrzeby życiowe przy pomocy tej techniki, później zaś nie był już w stanie, co właśnie zmusiło go do żywienia się kosztem cudzych krajów. Dlaczego? Należy przypuszczać, a nawet twierdzić (chociaż na poparcie tego twierdzenia nie mamy żadnych świadectw), że w drugiej połowie XII w. nastąpił na Litwie znaczny przyrost ludności, dla której zasoby własnego kraju i własnego gospodarstwa już nie wystarczały.

Rozrastały się poszczególne związki społeczne, tworzyły się nowe i wzajemnie do siebie zbliżały, przez co musiały się wzmagać coraz bardziej walki pomiędzy nimi. Istnienie tych walk na Litwie każe nam przypuszczać wiadomość o życiu Prusów, podana przez Wulfstana, o czem mówiliśmy już wyżej. W walkach tych potęgowała się też coraz bardziej władza naczelników, którzy przewodzili poszczególnym związkom, przez to że jeden związek ulegał przewadze drugiego, albo się łączył z drugim skutkiem wspólności interesów.

Nadto wojny nieustanne powołały do życia zbrojne drużyny wojowników, którymi się stawali wodzowie, co siłę ich jeszcze wyżej podnosiło. Tak rozwijała się coraz bardziej organizacya państwa, której zawiązki istniały u Prusów już w wieku IX. Na początku XIII w. niewątpliwie niektórzy książęta litewscy musieli uznawać nad sobą władzę książąt silniejszych, jak to wynika z ustępu kroniki wołyńskiej, który przytacza w swej znakomitej rozprawie J. Latkowski [1]). Ten sam ustęp świadczy także o istnieniu poczucia solidarności plemiennej w szczepie litewskim, która niewątpliwie zbliżała poszczególne plemiona do siebie i ułatwiała im zespolenie się w większe związki społeczne. Pokój z księstwem ruskiem zawarli w r. 1219 książęta litewscy, żmudzcy i łotewscy.

W wojnach swych z Rusią Litwini od wypraw wyłącznie łupieskich przeszli do wypraw, mających na celu zdobycie

[1]) L. c., str. 212.

nowych posiadłości. Już na schyłku XII wieku książęta białoruscy musieli ulegać potędze litewskiej, a część Rusi Czarnej stała się nawet zdobyczą książąt litewskich.

Niepodobna, dla braku wiadomości historycznych, śledzić przebiegu walk wewnętrznych, które toczyli pomiędzy sobą książęta litewscy; wiemy tylko, że się one odbywały i skończyły na ustaleniu jedynowładztwa, które zdobył sobie jeden z tych książąt, Mendog. Kronika wołyńska powiada, że książę ten braci i wogóle krewnych swych albo wymordował, albo wypędził z kraju i zaczął sam jeden panować nad całą ziemią litewską. Niezupełna to prawda, bo drobni książęta pozostali, ale ma się rozumieć, byli w zależności od wielkiego księcia. Tak właśnie powstała monarchia litewska.

Rzucamy kilka tych myśli w postaci przypuszczenia tylko, żywiąc nadzieję, że ściślejsze badanie przeszłości litewskiej nie obali go, lecz poprze. Państwa tworzą się nietylko przez najazd drużyn wojowniczych na kraje cudze i obcoplemienne, ale także skutkiem walk pomiędzy gromadami społecznemi, należącemi do tegoż samego szczepu. Przyczem spoistość w związkach społecznych, które powstały ze skupienia kilku gromad społecznych, warunkuje się nietylko przymusem, przemocą, podbojem, albo przewagą cywilizacyjną, lecz także pierwiastkami jednorodnymi, tkwiącymi w poszczególnych gromadach, np. wspólnością pochodzenia albo jednostajnością kultury. Te właśnie pierwiastki posiadały niemałe znaczenie w procesie kształtowania się nawet barbarzyńskiego państwa litewskiego, co też umyślnie zaznaczyliśmy, kładąc równocześnie największy nacisk na czynniki fizyczne i ekonomiczne, bo te istotnie w procesie tworzenia się tak przymusowej organizacyi, jaką jest państwo, odgrywają najważniejszą rolę. Uczyniliśmy tak w tem przeświadczeniu, że tego wymaga prawda — jedyny cel badania naukowego. Nauka o społeczeństwach ludzkich, jakąkolwiek nazwę nosi: historyi, dziejopisarstwa, czy też socyologii, nie powinna powodować się ani uczuciami, ani nałogiem moralizowania lub chęcią przeparcia pewnej teoryi wbrew faktom, które ją obalają. Wszystko to są uprzedzenia, których strzedz się należy w badaniach naukowych jak najusilniej.

Witold Nowodworski.

Odczyty przyrodnicze.

Nauki przyrodnicze, te iście „humanitarne“ nauki, jak o nich mówi dr. Nusbaum, mające przed sobą wielkie zadanie wykształcenia „człowieka,“ zdają się budzić coraz większe zainteresowanie wśród naszego społeczeństwa. Szerokie podwoje otwiera przed niemi szkoła, w prywatnem nauczaniu stanowią jeden z przedmiotów niezbędnych, a i czytający zaglądają coraz częściej do książek przyrodniczych.

Jednym ze środków kształcenia i dokształcania ogółu w kierunku wiedzy przyrodniczej są odczyty. Serya podobnych odczytów popularnych zamknięta została w końcu roku ubiegłego. Na szczegółowe omawianie ich treści niema tu miejsca, wymienimy więc tylko zasadnicze sprawy, które w nich poruszono. Przeważną część stanowiły odczyty biologiczne. Jest to zrozumiałe: zjawiska życia złożone, powikłane i jeszcze niezupełnie znane, stanowią dziedzinę najbardziej żywotną, ogromnie w treść bogatą i dla przyrodnika po-

nętną. Takie sprawy, jak „przystosowanie roślin do warunków“ (p. Wójcicki), „wzajemna zależność zwierząt“ (p. Czerwiński), kwestya potworności (p. Tur), „zwierzęta przeszłości“ (p. Kudelski), „organizmy skałotwórcze, wreszcie przedstawienie życia, jako szeregu przemian energii, jako pracy, pojętej w znaczeniu mechanicznem (p. Kulwieć), były do pewnego stopnia związane wspólnością punktu wyjścia, za który posłużyła im teorya ewolucyjna. Teorya Darwina podaje, jako dwa czynniki, decydujące w historyi rozwoju i życia istot organicznych, dziedziczność i zmienność, tj. zbaczanie od rodzicielskiego protypu, powstałe w skutek przystosowywania się do warunków otoczenia. A więc takie czynniki, jak światło, temperatura, odżywianie, wywołują odpowiedni wpływ na istotę żyjącą: roślina zmienia układ liścia, przystosowuje jego grubość, pokrywa go pancerzem krzemionkowym, tworzy bulwy nadziemne itd. Inną postacią przystosowania do złożonych warunków życia jest wytworzenie się zależności pomiędzy organizmami żyjącymi; w tych rozlicznych skojarzeniach społecznych pomiędzy roślinami i zwierzętami, pomiędzy zwierzętami i zwierzętami, w rozmaitych postaciach symbiozy trzeba widzieć rozpaczliwą walkę istot żywych o życie. W walce tej giną słabsi, zwyciężają jednostki silne, co w językuprzyrodniczym znaczy: powstające w większej harmonii z otoczeniem. Wzajemna zależność pomiędzy zwierzętami wyciska piętno swoje na ich zewnętrznej postaci i obyczajach; gatunki zmieniają się, odmiany słabsze giną i ustępują miejsca nowym, które współżycie rzeźbi i urabia dalej. Ciekawych przykładów takiej zależności wzajemnej dostarczają społeczeństwa mrówcze i ich współżycie z pewnym gatunkiem chrząszcza.

Kwestya potworności, którą zajmowali się już starożytni, co Cycero motywował słowami: „Dziwimy się temu, co widzimy rzadko,“ stała się obecnie przedmiotem badań embryologów. Nauka współczesna, nauka wogóle, nie chce się dziwić — ale chce wyjaśnić, głosi ona wielką tolerancyę i pragnie wszystko zrozumieć, to też i sprawa dziwactw w organizacyi, pojawienie się nadmiernej ilości członków, hypertrofia lub zanik jakichś narządów — zostały przeniesione na grunt badań embryologii normalnej. Zapytuje ona, czy istnieje zasadnicza różnica pomiędzy powstawaniem istot normalnych a potworów? Nie, zasadniczej różnicy niema, rządzą tu te same prawa rozwojowe, natura nie czyni wyjątków, potworność świadczy tylko o zmienności ustrojów, o ich przystosowywaniu się do okoliczności zewnętrznych, o plastyczności organizmu; słuszność tej teoryi popierają liczne doświadczenia nad osobnikami, które, wśród zmienionych warunków przybierały znamiona potworne.

Czem jest życie? Co na to pytanie odpowiedzieć może przyrodnik? Życie jest wypadkową rozmaitych zjawisk fizycznych i chemicznych, jest przejawem różnych postaci energii. Umysł ludzki, dążąc do wynalezienia wspólności we wszystkich zjawiskach, widzi tylko dwa czynniki, działające w przyrodzie: materyę i siłę; ani materya, ani siła nie giną, przeistaczają się tylko ciągle i zmieniają swą postać; jeden rodzaj energii przechodzi w inny, „przelewa“ się w nową formę — i to stanowi istotę wszelkiej pracy. A ponieważ życie jest ciągłym ruchem, ciągłem występowaniem rozmaitych postaci energii — zatem „życie jest pracą“ — takiego określenia użył p. Kulwieć i umotywował je, wykazując rozmaite przejawy tej samej energii w ciałach martwych, w wynalazkach technicznych, a wreszcie w organizmach żyjących. Energia życiodajnego słońca jest twórczynią i matką wszystkich form energii, które długo tajone (jako energia potencyalna) ujawniają się w czynie. A więc ruch pełzaka, jego niezłożone czynności życiowe są przejawami pracy, która różnicuje się równolegle z doskonaleniem organizacyi zwierzęcej, aż wreszcie przejawia się w formie najwspanialszej w świecie zwierząt i wśród społeczeństw ludzkich. Odczyty „o mowie“ (p. Kopczyński) i „o zwierzętach przeszłości“ opierały się również na teoryi ewolucyi. Z luźnych odczytów wymienimy jeszcze: „pory roku“ p. Tołwińskiego, Lewińskiego, „Organizmy skałotwórcze“ Fabiana „Zabawy u zwierząt i ludzi.“

Przyrodnik-popularyzator ma przed sobą niezmiernie trudne zadanie: powiązać oddalone nieraz fakty i o ułatwić zrozumienie wyjaśniających je teoryj. To przystosowywanie nauki do celów praktycznych niezawsze się udaje; jeden odczyt — to bardzo małe pole do rozwinięcia zagadnienia przyrodniczego, trzeba je zwęzić, skrócić — i albo sprowadzić do teoretycznego przedstawienia, lub też poprzestać na przytoczeniu wielu faktów, pokazaniu obrazów świetlnych, ilustrujących te fakty, z pominięciem lub też lekkiem naszkicowanem ich dostatecznego wyjaśnienia. Odczyty tegoroczne miały często charakter luźnych kart, wyrwanych z olbrzymiej księgi, nużyły nieraz nadmiarem nazw i faktów, którym brakło teoretycznego umotywowania. Wszechstronniej mogli rozwinąć temat prelegenci, rozporządzający dwoma wieczorami dla swych prac, to też odczyty „Życie to praca,“ „Zwierzęta przeszłości,“ mogły przynieść rzeczywistą korzyść słuchaczom, nieobeznanym z przedmiotem. Z pojedyńczych odczytów na wyróżnienie zasługuje opracowanie tematu „O potworności“ ze względu na umiejętny dobór faktów i jasne teoretyczne wytłomaczenie.

Odczyty przyrodnicze są młode, liczą zaledwie parę lat istnienia, nie zapoznały się więc jeszcze zapewne ze swem audytoryum i jego wymaganiami. Zresztą poznanie tego audytoryum jest trudne: w tym roku było ono ogromnie niejednolite. Przeważała młodzież, o bardzo różnym poziomie i przygotowaniu. Ta część młodzieży, która nie przeszła przez szkołę nauk przyrodniczych, z luźnych tematów odczytów tegorocznych wielkiej korzyści wynieść nic mogła; dla reszty były one za popularne i zawierały fakty znane już z wykładów szkół średnich w nową tylko ujęte formę.

Należałoby może wprowadzić większą ciągłość i spoistość pomiędzy tematy odczytów, zachowując ich popularny charakter, a wtedy przyciągnęłyby one prawdopodobnie robotników i rzemieślników, lub podnieść ich poziom i uczynić je rozsadnikami wspaniałych teoryj i ostatnich wyników nauki.

N. M. J.

Ryszard Kraft-Ebing

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Słynny psychiatra, znakomity profesor, niezwykle doświadczony i bystry lekarz-praktyk zmarł 22 ubiegłego miesiąca w 62 roku życia. Na urzędzie swoim i w zawodzie, w uniwersytecie i w klinice czynny był prawie do końca, gdyż choroba trwała zaledwie kilka miesięcy. W ciągu niezbyt długiego życia zdziałał bardzo dużo, a imię jego w dziejach kulturalnych ludzkości zapisało się wielkiemi głoskami.

Urodzony w Mannheim, studyował medycynę w Heidelbergu, Zurychu, Wiedniu i Pradze. Poczem jako lekarz asystent wstąpił do słynnego naówczas zakładu dla obłąkanych w Illenau, w Badeńskiem. Tu jednak nie został długo. Jego prace naukowe zwróciły nań uwagę, i w 1872 r. powołano go na katedrę psychiatryi w uniwersytecie strasburskim. Po roku już jednak przeniósł się do Hradcu (Gracu), gdzie przez lat szesnaście prowadził wykłady psychiatryi i chorób nerwowych na uniwersytecie tamtejszym, był dyrektorem krajowego zakładu dla obłąkanych i własnego, prywatnego sanatoryum dla nerwowych chorych. W 1889 r. wezwany do Wiednia objął katedrę psychiatryi po Leidesdorfie, a wkrótce po śmierci Meynerta — naczelne stanowisko w klinice dla obłąkanych i nerwowych.

Tu, w ciągu dziesięcioletniej niestrudzonej pracy, nieulękłej walki z wstecznictwem, niedbalstwem, przesądem i nieuctwem zapisał się na wieczne czasy w pamięci potomnych. Wśród najcięższych warunków materyalnych zdołał postawić zakład powierzony swej opiece na stopie możliwej doskonałości.

Szerokie też uznanie zjednały mu prace naukowe z zakresu psychiatryi, psychologii kryminalnej i chorób nerwowych. Jego poglądy stały się punktem zwrotnym w zapatrywaniach ogółu i spowodowały wiele zmian w postępowaniu z kryminalistami i z chorymi. Lecz najtrwalszem i najoryginalniejszem jego dziełem jest szeroko rozsławiona „Psychopatia sexualis“, która obecnie dosięgła już jedenastego wydania. W tej pracy słowem prostem, poważnem, lecz silnem Kraft-Ebing odmalował, nierzadko spotykane, zboczenia i chorobliwości, na które jednak obłudna skromność każe rzucać zasłonę milczenia.

NOTATKI NAUKOWE.

Historya. Ogromną zasługę położył A. Kraushar opracowaniem historyi *Towarzystwa królewskiego przyjaciół nauk*. Tylko wyjątkowa wiedza, wyjątkowa pracowitość i staranność w poszukiwaniach, wyjątkowe wreszcie umiłowanie przedmiotu mogło zdobyć się na takie olbrzymie dzieło, którego ukazał się tom nowy (407 str.), obejmujący pierwsze czterolecie czasów królestwa kongresowego (1816—1820). Dla dziejów rozwoju umysłowego u nas będzie to źródło nietylko bardzo bogate, ale niezmiernie ułatwiające pracę przyszłym badaczom.

Telegraf bez drutu jest już faktem dokonanym. Pierwsze depesze, wyprawione z Kanady za pomocą aparatu Marconiego, przebiegły po nad oceanem Atlantyckim i odebrane zostały przez króla angielskiego i króla włoskiego.

Wynalazca jest Włochem, urodzonym w Bolonii i ma zaledwie lat 27. Nad swym wynalazkiem pracuje on już od lat sześciu. Pierwszy jego występ publiczny nastąpił w 1899 r., kiedy z wysokości skał Doveru posłał on znak do Boulogne we Francyi. W ciągu dwu następnych lat udało mu się tak ulepszyć aparat, że odległość dla telegrafu bez drutu znacznie się zwiększyła. W r. 1901 w sierpniu mógł już na przestrzeni 237 mil angielskich porozumiewać się z parowca „Lucania“ z innym statkiem. A pod koniec 1901 r. aparat swój tak udoskonalił, że ze stacyi Poldhu przesłał literę „S“ do Cap Breton. W lutym roku ubiegłego mógł już ze stacyi Poldhu porozumiewać się z parowcem „Filadelfia,“ znajdującym się na odległości 2,009 mil. W pięć miesięcy później ze statku włoskiego „Carlo Alberto,“ stojącego u brzegów Danii, wysłał do stacyi w Poldhu depeszę, która przeleciała po nad Anglią w najszerszym jej punkcie, Szwecyą, Norwegią i częścią Danii. Stał również depesze z Kronstadtu w Rosyi, i w różnych innych kierunkach. W tym czasie wpadł na pomysł nowego znacznie wzmocnionego aparatu magnetycznego, dla odbierania i wysyłania. System Marconiego został już przyjęty przez marynarkę angielską i włoską.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

—✦—

Wacław Berent: *Próchno.*

Jeden z najwybitniejszych krytyków współczesnych, mówiąc o powieści naszej z ostatniej chwili, o powieści Żeromskich, Sieroszewskich, Reymontów, Berentów, Daniłowskich, Weyssenhofów i innych, odnalazł w niej, przy całej różnolitości temperamentów twórczych, stylów i tematów, pewną cechę wspólną. „Jest nią wielka powaga i szczerość, przejawiająca się zarówno w szerokiej, a zarazem sumiennej i subtelnej robocie artystycznej, jak i w stosunku etycznym do odtwarzanych kwestyj.“ I rzeczywiście, powieść polska, pod piórami wymienionych przed chwilą twórców, nietylko rozrosła się i zabarwiła bujnem kwieciem, jakiemu równego nie wskazalibyśmy tak łatwo w żadnej z literatur współczesnych, ale zarazem w porównaniu z dobą minioną lub przemijającą, nabrała cech nowych, pogłębiając się znacznie i stwierdzając tem w sposób niezbity swój rozwój nieustanny, a więc i prawo do życia.

Młoda powieść nasza zerwała już stanowczo z posiwiałą tradycyą gawędy o dawnych dobrych czasach, heroicznych czynach szlacheckich Wyrwidębów i Waligór, pławiących się we krwi po szyję i wzdychających, jak miechy, do swych przecnotliwych kochanek. Przestała być wogóle bawidełkiem dla dorosłych dzieci, usposabiającą do drzemki, a przytem wielce umoralniającą bajeczką o czułych Numach, wychodzących po przygodach wielu za rycerskich i nieskazitelnych Pompiliuszów; porzuciła raz na zawsze teatralną maskę, szminkę, szczudła, dekoracye i kostyumy, zerwała z nienaturalnością i konwenansem. Obok pojmowanych poważnie zagadnień społecznych, w większym nawet stopniu od nich, nęcą ją dzisiaj: najgłębsza treść i istota życia, oraz niełatwe do rozwikłania, a tak liczne i natrętne zagadnienia złożonej duszy ludzkiej, tej biednej, przesubtelnionej duszy współczesnej, dręczonej zagadek i wątpliwości tysiącem; pociąga ją głównie, rzec można, owo „głębsze odczucie duchowych dróg,“ o którem pisał poeta.

Więc wsłuchuje się w napół uświadomione jęki serc, pękających z bólu, lecz poświęcających uczucia osobiste dla ukochanej nad wszystko idei; maluje dziwną melancholię olbrzymich jezior i tundr, bezgraniczne tęsknoty i marzenia; z przedmiotowością epicką spróbuje czasem odtworzyć zbiorową duszę żywiołowej gromady chłopskiej, to znów z uśmiechem ironicznym potrząśnie pustką wewnętrzną tych, których przodkowie przewodniczyli kiedyś narodowi, lub rzuci niespodziewany snop światła w czeluście życia wielkomiejskiego, odnajdując na dnie ich garść jednostek znużonych i zbolałych, skupiających się dokoła potężnego bożka Sztuki, który jednak zbyt często, niestety, nie jest w stanie zapewnić swym czcicielom nietylko szczęścia trwałego, lecz nawet chwilowego ukojenia. Mniejsza o tematy zresztą. Są one jak wiosenne strumienie górskie: wszystkich wyliczyć i przewidzieć niepodobna. Idzie więcej o sposób traktowania przedmiotu, o stosunek twórcy do dzieła, a pod tym względem młodzi pisarze zapoczątkowali już w literaturze naszej przewrót olbrzymi i dokonywują go w dalszym ciągu nieustannie.

W *literaturze*, a więc w tem, co przetrwać ma chwilowy poklask tłumu, kaprysy mody, wpływy potężne rozzuchwalonej reklamy; w literaturze, powtarzam, bo nie w pojęciach i upodobaniach szarej masy rzesz czytelniczych, dla których alfą i omegą twórczości beletrystycznej długo jeszcze pozostanie zapewne — „Quo vadis“ i „Trylogia.“ Pewne kształty literackie bywają czasem także rodzajem zaczarowanego koła, z którego umysł bezkrytyczny, patrzący najchętniej na świat oczyma kuryerkowych wzmiankarzy, znaleść wyjścia nie może i nie chce. Nie odczuwa poprostu potrzeby.

Nie chciałbym być znowu źle zrozumiany i wywoływać niepotrzebnych sporów i fajerwerków polemicznych. Daleki jestem od obniżania potężnego talentu Sienkiewicza lub przeczenia, że dał on literaturze naszej rzeczy pod względem artystycznym wspaniałe, że twórczość jego wogóle ma dla szerokich mas znaczenie doniosłe, choćby przez to, że rozbudziła wśród nich lub spotęgowała zamiłowanie do czytelnictwa. Pozwalam sobie tylko zauważyć, że jego epopeje szlacheckie, odtwarzające jedynie lub przeważnie szczęk oręża, huk armat i odgłosy trąb bojowych, niezupełnie już dziś odpowiadają potrzebom czasu i nowym wymaganiom ducha ludzkiego, że nie stanowią przedewszystkiem i nie stanowiły nigdy *całego* piśmiennictwa, a bezkrytyczne i nieustanne reklamowanie ich przez wydawców i reporterów literackich, z zupełnem pominięciem lub systematycznem niedocenianiem nowych dzieł i utworów innych, jest nietylko niesprawiedliwością krzyczącą względem tych ostatnich, ale krzywdą dla całego inteligentnego ogółu, hypnotyzowanego bez końca jednem imieniem i kilkoma tytułami i wznoszącego się przez to z trudnością do należytego ogarnięcia wzrokiem i myślą całokształtu twórczości współczesnej. Na jednym instrumencie — nie przeczę — wygrywać można melodye zachwycające. Nie idzie jednak zatem, aby dobrowolnie zatykać uszy na wspaniałą symfonię, którą nam daje współczesna nasza literatura powieściowa. Sądzimy przytem, że Sienkiewicz odebrał już i wciąż jeszcze odbiera z dosypem należną mu miarę uznania, sławy i zachwytów, tak dalece, że do wawrzynów jego obecnych najszczodrzejsza przyszłość niewiele już dorzucić potrafi. Nieco dobrej woli i życzliwej uwagi należy się więc i twórczości innych, przygłuszanej dziś jeszcze, lecz przygłuszyć się niedającej przez wrzaskliwe okrzyki handlarzy i reporterów: „Ogniem i mieczem“! „Quo vadis“! „Na polu chwały“! „Dodatki bezpłatne“! „Wola Okrzejska“! „Oblęgorek“!

* * *

Na twórczość właśnie tych *innych*, pomijanych uparcie lub gorzej niż pomijanych przez różnych urzędowych tytanów krytyki kuryerkowej, *Prawda* systematycznie starała się zwracać uwagę, a niejedno z jej twierdzeń, które zrazu wydawać się mogło zbyt śmiałem i wywoływało wrzawę zaprzeczeń lub nawet oburzeń, zyskuje sobie powoli prawo obywatelstwa i cichą aprobatę umysłów samodzielnych. Z kolei więc słów parę poświęcić dziś chcemy nowemu dziełu młodego pisarza, którego talent zabłysnął już przed ośmiu laty w „Fachowcu,“ przechodził potem ewolucyę długą, aż wreszcie świeżo w „Próchnie“ rozgorzał płomieniem silnym, wypowiadając się w sposób niezwykle szczery i oryginalny.

Gdyby mnie kto wprost zapytał, czy to powieść dobra i ładna i zażądał kategorycznej odpowiedzi, byłbym w prawdziwym kłopocie, bo „Próchno“ Wacława Berenta, którego druk zakończyła niedawno *Chimera*, nie jest utworem „ładnym,“ ani „dobrym,“ ani nawet powieścią w pospolitem tego słowa znaczeniu. Cała bajka, właściwa utworom beletrystycznym, została tu sprowadzona do granic najszczuplejszych. Autor unika starannie banalnych szczegółów i szczególików, niekiedy jakby umyślnie stara się zatrzeć jasność konturów, pozostawiając rzeczy, uważane zwykle za najważniejsze, domyślności czytelników lub wprost nie rozstrzygając ich wcale. Bo czyż doprawdy chodzi tak bardzo o takie lub inne pokierowanie i zakończenie dziejów postaci, stworzonych przez wyobraźnię i w wyobraźni tej byt swój mających? Dla zwykłych pożeraczów beletrystyki — zapewne, ale nie dla niespokojnych umysłów twórczych, trawionych gorączkowem pragnieniem sięgnięcia głębiej w bezdenną otchłań duszy ludzkiej i wkroczenia śmiało na szlaki nieutarte. Jednym z umysłów takich jest właśnie autor „Próchna,“ do niego też w całej pełni zastosować się dadzą słowa Matuszewskiego, że powieści polskie z ostatniej chwili sprawiają wrażenie tak intensywne, szarpią tak silnie naszemi nerwami, wsiąkają w wyobraźnię, wgryzają się gwałtem w nasze serca. Jeżeli o czem, to o „Próchnie“ właśnie powiedzieć można, że, obok różnych zresztą całkiem od niego „Ludzi Bezdomnych“ i „Popiołów“ Żeromskiego, „Zminionych dni“ Daniłowskiego, pisane było nie atramentem, lecz krwią serdeczną. Czytanie takiej książki — to nie rozrywka i wypoczynek dla dusz filisterskich, to praca, nieraz praca nużąca lub połączona z bólem głębokim, ale też i tworzy się dzieło takie inaczej trochę, niż zwykły, mierzony na łokcie i na ciekawość tłumu obliczony, odcinek powieściowy.

Na namalowanem znakomicie i od czasu do czasu przesuwającem się majestatycznie przed oczyma czytelnika, ponurem i pełnem jakiejś tajemniczej grozy tle wielkiego miasta niemieckiego (może to być równie dobrze Monachium, jak Wiedeń, Berlin lub inne jeszcze środowisko życia zbiorowego; określenie bliższe zbyteczne), ukazuje nam autor szereg postaci ludzkich, pożeranych dziwną chorobą, gorączkowem pragnieniem twórczości i zarazem jakąś jej niemocą okropną, przetrawiających się wspomnieniami lub pragnieniami i, w braku udzielania się nazewnątrz, palących się, jak jeden z nich, aktor Borowski, w żarze własnych namiętności.

Ten brutalny i ordynarny trochę, ale artysta z krwi i kości Borowski, duszący się wprost przy żłobku rodzinnym, nawet obok takiego dobrego, oddanego i kochającego stworzenia, jak Zosia; ten spragniony miłości, tworzący gorączkowo, a trzymany przez śmierć za gardło suchotnik Müller; poczciwy z kościami Pawluk; zepsuty do gruntu, a jednak niezupełnie zły, dziennikarz „w wielkim stylu“ Jelsky; wykwintny esteta i filozof nicości Hertenstein; społecznik Kunicki, nie mogący przy pomocy swych doktryn i formułek rozwikłać najtrudniejszego zagadnienia — własnej cierpiącej duszy; i wszyscy oni, ilu ich tam jest, to w gruncie rzeczy nie marne i bezpłodne dusze, umiejące się tylko nurzać w kałużach wielkomiejskiej rozpusty, przesiadywać w kawiarniach i tynglach, których zresztą w powieści jest może cokolwiek za wiele. Na dnie tych dusz, odtworzonych z intuicyą przedziwną, odbywa się ferment nieustanny, coś w nich wre i huczy, wyobraźnia pracuje i tworzy, umysł przeniknąć usiłuje zagadnienia najgłębsze. Uzewnętrznienie tego wszystkiego przyjdzie później lub może nawet nie przyjdzie wcale. Będzie zresztą zapewne, jak najczęściej wcielenie zewnętrzne duchowych aktów tworzenia, słabem tylko i jednostronnem ich odbiciem. Mniejsza o to! Autorowi chodziło przedewszystkiem o odmalowenie tego „próchna“ dusz twórczych, które je gryzie i trawi, a jednak fosforyzuje nazewnątrz blaskiem silnym, choć nieraz ułudnym, i przyznać trzeba, że cel ten osiągnął w zupełności. Co więcej, od-

tworzył wybornie i ten pożerający organizacye takie smutek głęboki, który znalazł wyraz w wielu ustępach dzieła— w przepięknych np. „myślach niepłodnych“ Müllera, gdzie spotkamy się z taką chociażby skargą, z serca wydartą: „Rozwiały wiatry mej samotności płodne zasiewy. Na mych tęsknot pustyni kraczą tylko kruki nad ciał i duchów padliną. Wszystko, co lepsze, głębsze, trwalsze, runęło w gruzy. Więc już nic nie wskrześnie? nic ciałem wizyi się nie oblecze? nic nie zmartwychwstanie w marzeń moich ostatnim mirażu? w nowego życia krzyku daremnym? Zmarniały dobre zasiewy — niechże więc kąkol wzejdzie i świadczy o życia mego krzywdzie i rozpaczy.“

„Próchno“, jak każde dzieło, pomyślane na szerszą skalę i w głębiach ducha twórczego poczęte, ma ustępy lepsze i gorsze, słabsze i silniejsze. Wogóle jednak zauważyć się w niem daje pewien pęd postępowy, wzmaganie się siły i natchnienia w miarę posuwania się pracy. Rzec można, że sam nawet zamiar nakreślenia obrazu pewnego rodzaju niemocy twórczej przy wielkiej pełni trawionego gorączką ducha, rozszerzył się i spotężniał w ustępach końcowych, gdzie autor sięgnął śmiało do najgłębszych zagadnień bytu. Doskonale zrobione, pełne życia i prawdy, są np. pierwsze karty książki, z wyborną w pomyśle i w wykonaniu postacią starego Borowskiego. Ale ustępy końcowe, wspaniałe zwłaszcza opowiadanie Hertensteina, w którem widzimy również potężną, jakby wykutą ze śpiżu na tle starożytnego zamczyska, postać jego ojca, przerastają powieść całą znacznie. Jest to jakby poemat odrębny, choć wiążący się z resztą w całość organiczną, pisany językiem prześlicznym, pełnym jakiejś niedającej się określić bliżej muzyki i harmonii wewnętrznej, a przytem nacechowany niepospolitym polotem twórczym i niezmiernie bujną fantazyą.

Pyszne jest tam między innemi, gdy już o szczegóły potrącamy, to ścieranie się dwóch organizacyi umysłowych: Müllera, artysty do szpiku kości, pragnącego tworzyć i widzącego w dziełach ludzkich, w sztuce, jedyną trwałą wartość na świecie, i—głębszego dużo od niego Hertensteina, który przebył już te wszystkie gorączki, miotające dziś przyjaciółmi jego, i umie sobie powiedzieć ze spokojem, że jedyne „wieczne wartości“, tkwiące w głębi ducha ludzkiego, nie udzielają się ani za jarmarczne, ani za żadne inne ceny. „One, jeśli się w człowieku rodzą, w nim też i pozostają. Dla nich niema wyrazu. One są milczeniem, jak Bóg, jak fatum.“ Przez okno w nyży zamkowej widział przed sobą trzy drogi ducha: „na szczyty najbielsze droga marzeń bezpłodnych; wydeptany gościniec w dolinę szarego życia na daremną walkę z kamieniami — i krętą ścieżkę, co wierzchołkami gór i padołem przepaści wiedzie w czarne pałace, gdzie lirowe dziady królują i tłumu pochlebstwem żyją“— a wybrał w końcu drogę czwartą, która mu z ducha wykląć kazała wszelkie myśli o samym sobie i szukać szczęścia na drodze celowego oddalenia się od wszelkich żądz, pragnień i chęci i rozmyślać ze spokojem buddyjskim: o bycie cierpienia, o przyczynie jego trwania, to jest o niemożebności zadowolenia swego „ja“, o możliwości usunięcia cierpienia i o drogach, wiodących do tego...

Dosyć! Nie piszemy krytyki, ani sprawozdania; na niejeden szczegół znamienny brak nam tu zresztą miejsca. Pragnęliśmy jedynie zwrócić uwagę czytelników na utwór śmiały, oryginalny i szczery, jeden z wybitniejszych w szeregu tych, które wyszły w ostatnich czasach z pod piór młodszego pokolenia powieściopisarzy polskich.

Wł. Bukowiński.

Notatki literackie i artystyczne.

Pamiętniki. Józef Dunin Karwicki: *Z moich wspomnień*, Warszawa. Widocznie poprzednie tomy tych wspomnień znalazły nabywców, skoro autor wydał nowy, obejmujący lata jego dzieciństwa i młodości. I tu, jak tam, płytka paplanina o drobiazgach, przyprawiona stęchłą moralistyką i odrażającym oportunizmem. W umyśle autora zacierają się zupełnie szerokie linie etyki społecznej, a występują drobne linijki interesu osobistego, rodzinnego lub towarzyskiego. Posiada on jakąś kaleką bezwrażliwość wobec wielkości. Kilkakrotnie zetknął się z ludźmi, którzy potem zyskali sławę (z J. Korzeniowskim, A. Fredrą, Bobrową itd.): nawet przez chwilę nie zatrzymał na nich swojej uwagi, spiesząc do niezliczonych ciotek, babek, krewniaków, przyjaciół, sąsiadów, przy których omdlewa z zachwytu. Niechby to zostało w aktach rodzinnych, ale poco drukiem ogłaszać?

POEZYE

Bursztynowce.

Ziemia do snu się kładła... Po niebios kopule
Bóstwo-słońce staczało swój rydwan płomienny,
Obejmując stęsknionem wejrzeniem świat senny,
Co zwolna się spowijał w błękitnych mgieł [tiule...

Olbrzymy-bursztynowce, żegnając dzień czule,
Roniły łzy — ocean chłonął je bezdenny,
Nakształt groźnej, spienionej otchłannej Ge- [henny,
Na dno je ciągnąc swoje, pogrążając w mule...

Przeszły wieki—sędziwe pnie istnieć przestały,
I może pamięć o nich w przyszłości zamierzch- [nie,
Jednak źdźbła ich, dobyte burzą na powierzch- [nię,
Walcząc z falą, wyławia dotąd żeglarz śmiały...

A ludzkie łzy, rozsiane po gościńcach wszędzie,
Ażali dłoń potomnych zbierać kiedy będzie?..

Szumiały przed wiekami...

Szumiały przed wiekami melodyą tęsknoty
Dęby-starce, olbrzymie szumiały iglawy,
Miłosnymi z palmami bratając się sploty,
Smętnie na zachód słońca spoglądały krwawy...

U stóp ich przyczajony, żądny krwi i sławy,
Praczłowiek, ostrząc skrycie swe krzemienne [groty,
Z chciwością łowił słuchem przeciągłe oktawy,
Drgające wśród powietrza, jak słońca pył złoty.

Wydzierając przyrodzie tajemną jej mowę,
Czyż marzył, że w przyszłości, w wieków od- [daleniu,
Wskrześnie ona i zagrzmi w wieszczów wiel- [kiem pieniu,
Że dźwięki jej potężne, jak grom i echowe,
Burzy piekielnym rykiem, grozy majestatem,
Wstrząsną dusz milionami i zawładną światem!..

Wiktor Dzierżanowski.

SPRAWY EKONOMICZNE.

INTEGRACYA PRODUKCYI.

Rozwój ekonomiczny ostatnich lat trzydziestu odróżnia się od poprzedniego okresu, pomiędzy innemi, integracyą produkcyi, czyli skupieniem się pod jednym zarządem wielu odrębnych gałęzi przemysłu, które poprzednio istniały oddzielnie i prowadzone były przez odrębne i zupełnie od siebie niezależne zarządy. Niezbyt dawno jeszcze wszyscy bez wyjątku wielcy przemysłowcy angielscy byli zdania, że każde przedsiebiorstwo powinno zajmować się tylko jednym rodzajem produkcyi, specyalizować się coraz bardziej, a przedmioty, używane przy wyrobie sprowadzać z fabryk, również podobnie wyspecyalizowanych. „Nigdy nie rób u siebie rzeczy, którą możesz kupić gdzieindziej“ — było zasadą, przyjętą w świecie przemysłowym. Zamiast niej wystąpiła dziś inna: „nigdy nie kupuj rzeczy, którą możesz zrobić u siebie.“

Najpowszedniejszym przykładem takiej zasadniczej zmiany są angielskie koleje żelazne. Niegdyś kompania kolejowa budowała linię i zajmowała się tylko zorganizowaniem ruchu pociągów; na tem kończyła się jej działalność. Dziś dobrze prowadzone towarzystwo kolejowe utrzymuje doki, kanały, parostatki, własne hotele, a prócz tego prowadzi mnóstwo drobnych przedsiebiorstw, wytwarzających najrozmaitsze przedmioty. Dyrektorowie kolei północno-zachodniej przyjmują za zasadę, że „kompania powinna być o ile można niezależna od zewnętrznego świata pod względem potrzeb życiowych.“ Do wielkich zakładów tej drogi żelaznej w Crewe sprowadzają się w stanie gotowym tylko miedziane rury do lokomotyw. Poza tem wyrabia się tu wszystko, czego tylko droga żelazna i jej urządzenia mogą potrzebować. „Przechodząc z oddziału do oddziału, widzimy budującą się łódź stalową (gdyż kompania, pamiętajmy, jest właścicielką licznych kanałów); tam wykończają most żelazny; gdzieindziej, w ogromnej szafie, oglądamy krany, pompy hydrauliczne, kołowroty okrętowe. W innem miejscu całemi tonnami wyrabiane są najrozmaitszego gatunku łańcuchy poczynając od grubych, używanych do kotwic, kończąc na wchodzących w skład uprzęży; tuż obok całe setki lamp i kubłów do węgla. Dziwny widok czeka nas w zakątku ciesielni, gdzie dwóch ludzi stale jest zajętych wyrobem sztucznych członków drewnianych. Około roku 1885 kompania rozpoczęła działalność w tym kierunku i dostarcza doskonale wykończonych rąk i nóg wszystkim, którzy stracili swoje własne na służbie *).

Z warsztatów w Crewe co pięć dni wychodzi nowa lokomotywa; wszystkie szyny wyrabiane są w stalowniach i walcowniach, należących do towarzystwa kolejowego. Zajmując się wielką produkcyą, ta sama kolej nie gardzi jednak i najdrobniejszą; okazało się np., że robienie matowych deseni na szybach, używanych do drzwi i okien poczekalni i umywalni, kosztuje o połowę taniej, niż kupowanie szyb gotowych, więc kolej kupuje zwykłe gładkie szkło i zatrudnia własnych artystów-rzemieślników przy rysowaniu deseni. Od dwudziestu pięciu lat wszystkie koleje wprowadziły dostawę towarów ze stacyi do składów i mieszkań. Prawie każda buduje obecnie swe wagony. Kolej „Midland“ drukuje bilety pasażerskie, a Wielka Wschodnia wykonywa w swych zakładach wszystkie potrzebne druki, począwszy od kwitków bagażowych, aż do ogromnych kolorowych reklam i ogłoszeń litografowanych. Zakład drukarski drogi Wschodniej zatrudnia stale przeszło 100 osób. Kolej „Midland“ poszła jeszcze o krok dalej; w głównych składach, w Trent, jest około czterystu tysięcy próżnych worków, które kolej wypożycza farmerom do przewożenia zboża do młynów. Kilka lat temu wypożyczaniem worków zajmował się prywatny przedsiebiorca. Ciągnął on ze swego interesu wcale niezłe zyski, zagarnięte obecnie przez kolej.

*) „The Railways of England.“ W. M. Acwarth.

Taki sam prąd daje się zauważyć w organizacyi wielkich przedsiebiorstw prywatnych. Weźmy np. ogromne zakłady budowy okrętów. Trzydzieści lat temu warsztaty takie ograniczały się tylko do wybudowania szkieletu okrętu, oddając wykończenie statku setkom drobnych przesiebiorców, z których każdy zawierał kontrakt na dokonanie jakiejś specyalnej roboty: tapicerskiej, ślusarskiej, lakierniczej itd. Obecnie warsztaty okrętowe wytwarzają wszystko same, począwszy od maszyn o potrójnem rozszerzeniu, skończywszy na najmniejszej śrubce przy zamku u szuflady kredensowej, i wykończają statek własnemi siłami. Dawniej personel robotniczy warsztatu okrętowego składał się tylko z cieśli i t. zw. „platers“ (robotników, wiążących żelazne części okrętu i spajających płyty stalowe); dzisiaj w personelu tym znajdujemy przedstawicieli kilkuset różnych fachów. Oto jak współwłaściciel jednej z największych firm angielskich opisuje rozwój swego przedsiebiorstwa:

W r. 1879 rozpoczęliśmy sami dawać liny i żagle do budowanych przez nas okrętów. W tym samym roku zbudowaliśmy pierwsze łodzie ratunkowe. W 1880 zaczęliśmy szycie żagli i wykonywanie na statkach wszystkich robót blacharskich. W 1881 otworzyliśmy oddział wyrobu mebli. W 1882 oddział oświetlenia elektrycznego. W 1880 zaczęliśmy budowę maszyn; maszyny na okrętach, budowanych przez nas poprzednio, były sprowadzane z fabryk specyalnych. Lecz nawet przez pewien czas po otwarciu własnej fabryki maszyn, sprowadzaliśmy jeszcze niektóre pomocnicze, które dziś budujemy sami *).

Historya wielkich fabryk żelaznych wykazuje tę samą tendencyę. Otwierano oddział po oddziale, rugowano stale wszelkie dostawy kontraktowe, tak że dzisiejsze wielkie fabryki żelazne są to olbrzymie zbiorowiska przemysłowe: wydobywają rudę z własnych kopalń, wytwarzają surowiec, przerabiają go na stal, budują własne okręty oraz wszystkie maszyny, od wielkich pomp powietrznych przy piecach aż do kolejek fabrycznych, wyrabiają własne narzędzia i prowadzą mnóstwo prac pomocniczych, niemających pozornie nic wspólnego z produkcyą żelazną.

Jeżeli przeniesiemy się teraz do zupełnie innej gałęzi przemysłu, do wyrobu narzędzi i towarów metalowych, to spostrzeżemy, że najlepiej rozwijające się firmy trzymają się tej samej polityki koncentracyjnej. Właściciel największej i najlepsze dochody dającej fabryki w Birminghamie trzydzieści lat temu stosował się ściśle do panującej wówczas zasady specyalizacyi; wszystko, co nie należało do ścisłego zakresu jego fabrykacyi, sprowadzał z innych zakładów lub powierzał przedsiebiorcom. Powoli jednak porzucił starą zasadę i coraz więcej prac pomocniczych przedsiebrał na własnę rękę. Rozpoczął wyrób maszyn i narzędzi dla własnego użytku. Powiększając fabrykę, najmował mularzy, kupował cegłę i sam lub przez swych techników dozorował budowy. Z roku na rok stawał się coraz mniej zależnym od innych dostawców i wreszcie dzisiaj w swej metalowej fabryce wyrabia nawet drewniane pudełka i papierowe torebki, służące do pakowania właściwego produktu.

Tę samą integracyę produkcyi widzimy we wszystkich niemal przedsiebiorstwach, prowadzonych na wielką skalę. Wielcy wydawcy i nakładcy książek i czasopism w Londynie dodali do własnych drukarń introligatornie i papiernie. Jedna z największych firm wydawniczych połączyła pod wspólnym zarządem wszystkie stadya wyrobu książek, utrzymuje nawet na stałej pensyi autorów, zarządców i robotników w drukarniach i introligatorniach, wędrownych roznosicieli po wsiach. Integracya przemysłu dosięgła aż tutaj i złączyła w jedną organizacyę rozproszone i do niedawna bezpośrednio niezależne funkcye ekonomiczne.

Rozwój gospodarki miejskiej, tak znamienny w Anglii, w ciągu ostatnich paru dziesiątków lat przedstawia również podobne zjawisko. Wszystkie potrzeby miasta: brukowanie ulic, wywóz śmieci, wznoszenie gmachów miejskich itd., oddawane były drogą licytacyi przedsiebiorcom prywatnym. Dostarczanie gazu, elektryczności, wody, linie tramwajów i omnibusów pozostawały do niedawna we wszystkich niemal wielkich miastach angielskich w rękach prywatnych. Obecnie znaczna część tych przedsiebiorstw stała się własnością miast, starających się w miarę możności (tj. o ile daje się przezwyciężyć w radzie miejskiej opór zwolenników gospodarki prywatnej) przejąć wszystkie przedsiebiorstwa, „oddające usługi publiczne,“ na własność i prowadzić je pod swą bezpośrednią kontrolą. Londyński „County Council,“ przekonawszy się, jak kosztowny jest system kontraktów, otworzył w r. 1893 „Departament robót,“ który wykonywa na własną rękę najrozmaitsze potrzebne miastu prace. Zarząd Birminghamu przyjął niemal za zasadę nie oddawać robót miejskich w ręce przedsiebiorców prywatnych, lecz wykonywać je za pośrednictwem własnych techników i robotników. Inne miasta angielskie posuwają się szybko w tym samym kierunku; ostateczna municypalizacya przedsiebiorstw, oddających usługi publiczne, jest tylko kwestyą czasu, a z jej postępem zanika coraz bardziej tak powszedni do niedawna typ „przedsiebiorcy robót miejskich.“ Zarządy miast, reprezentujące spożywców, podejmują się zaspakajania coraz większej ilości ich potrzeb, ekonomiczne funkcye zarządów miejskich wzrastają szybko i miasta stają się olbrzymiemi przedsiebiorstwami samodzielnemi, ześrodkowującemi w swych ramach coraz różnorodniejsze czynności gospodarcze, które stanowiły poprzednio sferę działalności odrębnych i niezależnych, najczęściej wyspecyalizowanych jednostek ekonomicznych.

Ta integracya produkcyi jest, obok trustów, bodaj najcharakterystyczniejszą cechą rozwoju przemysłowego doby dzisiejszej. Odbywa się ona w wielu wypadkach równolegle z tak zwaną koncentracyą kapitału, tj. z grupowaniem się pod jednym zarządem coraz większych mas bogactwa, stanowi jednak zjawisko zupełnie odrębne i stosunkowo zupełnie nowe: koncentracya kapitału widoczną była już w pierwszej połowie zeszłego stulecia, integracya produkcyi występuje w ciągu ostatnich lat trzydziestu. Koncentracya pochłania i *niweczy* nazewnątrz masy drobnych przedsiebiorstw, wytwarzających towary pewnego *jednego* gatunku; integrayca—*stwarza* wewnątrz danej organizacyi ekonomicznej szereg nowych *różnorodnych* gałęzi produkcyi. Koncentracya w swem najwyższem rozwinięciu polega na urzeczywistnieniu monopolu, integracya — na samowystarczaniu (self-sufficiency). W koncentracyi kapitału widzimy dążenie wytwórcy do zapanowania nad produkcyą i, co za tem idzie, nad spożywcami. W integracyi spostrzegamy prąd wprost przeciwny: tutaj spożywca dąży do opanowania produkcyi. Gdy fabrykant, który dotychczas sprowadzał materyał surowy, nabywał maszyny i narzędzia, oddawał przedsiebiorcom budowę gmachów fabrycznych lub dostawę produktów, który, jednem słowem, występował jako spożywca w dziesiątkach i setkach wypadków, poczyna sam produkować materyały surowe, budować gmachy i maszyny, wówczas obejmuje on w charakterze spożywcy dyrekcyę nad temi pomocniczemi gałęziami wytwórczości. Dążenie to jest jeszcze wyraźniejsze w tym wypadku, gdy obywatele miejscy, reprezentowani przez swych obieralnych przedstawicieli, poczynają sami prowadzić przedsiebiorstwa, mające na celu zaspakajanie potrzeb publicznych, i dziękują za dotychczasowe usługi przedsiebiorcy prywatnemu.

T. Filipowicz.

Międzynarodowy rynek pracy.

Praca jest także towarem i także ma swoje rynki. Zwiększanie się lub zmniejszanie popytu na nią nietylko poucza nas bezpośrednio o jej ruchu, ale wskazuje pośrednio falowanie jej wytworów w rozmaitych gałęziach produkcyi.

Ogólne położenie międzynarodowego rynku pracy w ostatnich czasach przedstawia zawsze jeszcze posępny obraz. Objawy względnego polepszenia można zauważyć tylko w Niemczech, gdy w innych krajach, a szczególniej we Francyi i Anglii, krytyczne położenie jeszcze się bardziej zaostrzyło. W Anglii liczba pozbawionych pracy wynosiła w roku zeszłym w listopadzie $4,8^{0}/_{0}$, kiedy w tymże miesiącu 1901 roku $3,8^{0}/_{0}$. A cyfry te dotyczą tylko zorganizowanych robotników, o ilości niezorganizowanych a pozbawionych zajęcia nie posiadamy żadnych obliczeń. Wśród tych właśnie brak pracy w ostatnich tygodniach wyjątkowo silnie się zaznaczył. Tysiące, nieposiadających zawodowego uzdolnienia, stara się naprożno przez biura pośrednictwa o zajęcie. Wielu z nich jako ostateczność przyjmuje służbę w wojsku. We wszystkich większych miastach potworzyły się komitety, zbierające składki na utrzymanie robotników.

We Francyi także w porównaniu z r. 1901 liczba pozbawionych zajęcia znacznie się wzmogła, z $8^{0}/_{0}$ podskoczyła do $11^{0}/_{0}$. Pomyślne dla rynku pracy warunki pozyskały kopalnie węgla, lecz zato w przemyśle budowlanym, jedwabnym i w wielu gałęziach spożywczego położenie znacznie się pogorszyło. To samo można zauważyć w Danii, gdzie wskutek licznych bankructw w Kopenhadze, wiele zakładów przemysłowych znalazło się w rozpaczliwem położeniu. W Austro-Węgrzech z powodu zastoju huty, wyrabiające szkło do okien, zawarły między sobą układ w celu ograniczenia produkcyi na r. 1903. W niektórych gałęziach przemysłu tkackiego niepomyślnie także rzeczy poszły. Szczególnie złym stanem pracy zaznaczyły się przędzalnie lnu, warsztaty wyrobów jutowych i przemysł płócienny. Nawet w Stanach Zjednoczonych, które dotąd zdawały się stać bezpiecznie po za obrębem linii przesilenia, prezydent Wielkiej kolei Północnej, J. J. Hill, oświadczył, że wskutek olbrzymiej nadprodukcyi w przyszłości niedalekiej grozi reakcya, której pierwsze oznaki już dziś występują. W kopalniach pittsburskich z końcem listopada r. z. zapotrzebowania dotychczasowe zmniejszyły się o $50^{0}/_{0}$.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Zgromadzenie lekarzy we Lwowie uchwaliło organizacyę zawodową w celu poprawy bytu i podniesienia powagi stanu. Dla opracowania szczegółów wybrano komisyę.

— We Włoszech wydany został dekret królewski, wprowadzający instytucyę wędrownych bibliotek ludowych, mających na celu szerzenie oświaty zawodowej wśród warstw ludowych. Książek popularnych z dziedziny rolnictwa, przemysłu i handlu dostarczać będzie państwo.

— Według najnowszych obliczeń urzędowych, Chiny posiadają 426,447,224 mieszkańców na przestrzeni

*) List przytoczony w „The Ekonomics direct employment,“ S. Webba.

11,081,000 kilometrów kwadr. czyli 38,7 osób na kilom. kw.

Co przeoczono w pośpiechu zwracają uwagę wesołe pisemka w Berlinie, krytykując wyprawę wenezuelańską. Naprzód zapomniano wysłać tam Walderseego, pod którego władzę nietylko Anglicy, ale nawet Amerykanie byliby się chętnie poddali. Domek azbestowy wydałby się też doskonale na tle krajobrazu La Guayra. Następnie dowódcy wyprawy zaniedbali urządzić na dworcu kolei pożegnania i rozdawnictwa wieńców wawrzynowych. Nakoniec nie przygotowana medalu wenezuelańskiego. Ale niektóre z tych zapomnień może dadzą się jeszcze naprawić......

Z Poznańskiego. *Pos. Neu. Nachr.* donoszą, że najdawniejsze gimnazyum polskie Św. Maryi Magdaleny w Poznaniu zamienione będzie od przyszłego roku szkolnego z katolickiego na reformowane.

— Policya zabroniła bezpłatnych kursów buchalteryjnych, które urządzał związek piekarzy polskich dla swoich członków. Za powód do zakazu podano używanie podręczników polskich.

Szkoły i wychowanie. Ministeryum oświaty zawiadomiło kuratora warszawskiego okręgu naukowego, że kobiety wyznania mojżeszowego, które ukończyły gimnazyum żeńskie i następnie przyjęły katolicyzm, dla otrzymania świadectwa nauczycielki domowej obowiązane są złożyć egzamin z religii.

— Wydano rozporządzenie, aby w szkołach realnych okręgu warszawskiego wynagradzano oddzielnie nauczycieli matematyki za poprawianie zadań piśmiennych.

Wiadomości naukowe. Komitet Kasy Mianowskiego zawiadamia: „Zmarły d. 9 listopada 1891 r. Władysław Pepłowski uczynił Kasę Mianowskiego spadkobierczynią swego majątku, od którego dochód przeznaczył na popieranie wydawnictwa broszur i podręczników naukowych, zawierających najlepsze i najnowsze wskazówki rozwoju rolnictwa, rzemiosł i rękodzieł w kraju naszym, wyłożone jasno, popularnie, poprawnym językiem polskim, przystępnie dla ogółu rolników, rzemieślników i rękodzielników, zastosowane do potrzeb miejscowych na czasie, tudzież na pomoc dla autorów rzeczonych broszur lub podręczników i osób na tem polu pracujących. W wykonaniu zapisu tego, na którego przyjęcie Kasa pomocy właściwe zezwolenie otrzymała, komitet zarządzający Kasą oświadcza gotowość wejścia w bliższy stosunek z pp. wydawcami lub autorami dzieł, odpowiadających wyżej wyłuszczonym określeniom i warunkom, celem zapewnienia dziełom tym lub wydawnictwom poparcia, jakieby się okazało potrzebnem i możliwem. Osoby, pragnące uzyskać dla swych dzieł czy nakładów pomocy pieniężną, proszone są o zgłoszenie się osobiste do biura komitetu Kasy pomocy w Warszawie (ul. Niecała nr. 7) lub o nadsyłanie pod tym adresem żądań piśmiennych.“

— Gazety niemieckie donoszą, że profesorowie chemii w uniwersytecie lipskim, dr. Ostwald i dr. Gros, wynaleźli sposób fotografowania bez światła.

— Zjazd geologiczny w Petersburgu odroczono do d. 21 lutego r. b.

Literatura i prasa. W Dąbrowie Górniczej wychodzić będzie wydawany przez p. St. Ciechanowskiego, pod redakcyę inż. górniczego, p. Mieczysława Grabińskiego, dwutygodnik zawodowy p. t. *Przegląd górniczo-hutniczy*.

— Od nowego roku wychodzić będzie we Lwowie pismo dla dzieci p. t. *Wiek młody*, pod redakcyą pp. Zofii i Ireny Mrozowickich.

— Krakowski *Naprzód* utracił debit w Niemczech.

Sprawy ekonomiczne. D. 13 b. m. upływa ostateczny termin, w którym będą wycofane z obiegu 25, 10 i 5-rublówki z r. 1887 oraz 100-rublówki z r. 1866; po tym terminie wymiana powyższych banknotów będzie uskuteczniana tylko w Banku państwa w Petersburgu.

— Międzynarodowy kongres rolniczy w Rzymie odbędzie się w d. 19—23 kwietnia r. b.

Zdrowie publiczne. D. 21 z. m. otworzono w Wilnie Towarzystwo pomocy lekarskiej, któremu miasto udzieliło bezpłatnego pomieszczenia, a policmajster oddał do jego rozporządzenia konie i woźniców.

— Stacya doświadczalna miejska do badania produktów spożywczych ma być otworzona w halach targowych w Warszawie.

Poczta. Główny zarząd poczt i telegrafów zawiadomił stacyę warszawską, że karty pocztowe prywatnego wyrobu z napisami w językach cudzoziemskich: „Postkarte,“ „Carte postale,“ „Cartolina postale“ itp. powinny być bez przeszkód przesyłane wewnątrz państwa na równi z blankietami, mającemi napis w języku rosyjskim „list otwarty.“

Koleje i komunikacye. Departament kolejowy zawiadomił tutejsze zarządy, że w celu usunięcia nieporozumień, stacye sprzedające bilety z dopłatą za zwiększoną szybkość w komunikacyach bezpośrednich, powinny zawiadamiać podróżnych, że bilet dodatkowy nie daje im prawa żądania miejsca numerowanego w najbliższym pociągu pospiesznym, jeśli nie zapewnią sobie tych miejsc w czasie wyjazdu lub przesiadania za pośrednictwem stacyi miejskiej lub biura wagonów sypialnych.

— Otworzony został ruch na kolei Aleksandropol-Erywań.

Katastrofy. D. 26 z. m. podczas wichury piorun uderzył w wieżę kościoła w Skawinie (Galicya), wpadł do wnętrza świątyni, zabił jedną osobę, a kilka poraził.

— W Jaworznie, w Galicyi, pożar w kopalniach węgla zniszczył maszyny do wydobywania wody, skutkiem czego kopalnia została zalana, a 2,000 górników utraciło pracę.

— Skutkiem silnych mrozów zmarzło na Węgrzech około 70 osób.

— W Hartford, (stan. Connecticut) podczas zabawy załamał się lód, skutkiem czego utonęło 40 kilka osób.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 19 Декабря 1902 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.